



Bogusław Dziadzia

4 opowiadania

(1997-2007)/2012



Pole	5
Rzeka	31
Płótno*	62
Wojna	110

* Opowiadanie Płótno
ukazało się pierwotnie
w miesięczniku Lampa 3/2008

Widzę twoje zdziwienie. Nie normalny ten list, wiem. Trochę opasty. Już jakiś czas temu miałem Ci wysłać te cztery opowiadania. Jakos nie mogłem się pozbyć myśli żeby je sobie zostawić. Skoro czytasz to pewnie znaczy, że jednak je wysłałem. Przeczytaj to i odpisz może, co o tym sądzisz. Brakuje tutaj innego niż moje własne spojrzenia na siebie. Napisz cokolwiek.. Dni są tak podobne do siebie, sama wiesz.

Spacerowałem ostatnio nad rzeką. Blade światła rozpałały przeciwległy brzeg. Była czwarta nad ranem, a ja myślałem tylko: jest dokładnie tak jak ma być. Ja tu, nad rzeką, z dala od domu, a ty jakieś cztery tysiące mil dalej, na zachód, za wodą, wobec której ta sącząca się przede mną rzeka kroplą się zdaje. Spaceruję nad Renem. Nikt nie zna mojej twarzy, nikt nie zaczepia, nie chce paru groszy, jakoś czysto i ludzie uśmiechnięci, dziwnie tak. Pewnie piszę to by nadać jakiś sens temu co się stało. Nie czekam. Umieram z niecierpliwości. Czas jest zbyt rozwlekły, pomimo bycia tu, jestem przy tobie bez chwili zapomnienia.

Rano szósta pięć biegłem do pracy, słońce już grzało, a każde skrzypnięcie piasku na bruku pod butami wprawiało w radość. Gdzieś tam, po tym jak minie lato, znów cię zobaczę, zasnę przy tobie, tam gdzie być powinienem bez względu na miejsce w którym to się stanie. Odezwij się czasem. Budka telefoniczna przy nabrzeżu jak konfesjonał, uludna stacja nadziei, surogat bliskości, jak pijawka wysysająca godziny mojej pracy, które topię w jej wnętrzu żeby Cię ustyszczyć. Wiem, nie powinienem o tym mówić, to tylko pieniądze, ale w końcu po to tu jestem. Próbowałem pisać tylko dla siebie. Ale to bez sensu. Nie nadają się do pisania pamiętników. Jedyny sens ma dziś mówienie do Ciebie. Zrób z nim co chcesz, papier wiele zniesie i do wielu rzeczy się nada...

Pole

– Narzekaj, narzekaj! Popłacz jeszcze! – kobieta wytarła sobie twarz rękawem i wciąż pochylona dodała: – Zaraz ci przejdzie. Do tygodnia jest ciężko, później to wszystko jest już normalne. Mówiłam ci, mnie też za pierwszym razem wszystko bolało.

– Ale mama, po co my tu przyjechali? Trzeba było pojechać na winobranie, chłopaki mówili, że tam było lżej i pieniądze lepsze.

– Pogoda pewnie też lepsza, co? Nie marudź bo nas stąd wyrzucą bez grosza. Wiesz jak było ostatnim razem, rok jest długi i trzeba z czegoś żyć. Dobrze, że ci w ogóle pozwolili tu pracować.

Dzieciak się jakoś ogarnął, poprawił firmową bluzę i ciężko wdychając zgięty wpół znów robił to co wszyscy.

To miało być lekkim tańcem, a było zwiewne jak wiatr wyczuty z miecha kowalskiego, jakby rytuał indiańskiego szamana naśladował telewizyjne reklamy i takie jak gdyby ogorzały, sunący się pięć rzędów obok zwalisty mężczyzna w średnim wieku nie był żywą parodią motyla. Może to kwestia wyrobienia, może zwiotczenia ścięgien ud i grzbietu, zwykłego pecha, złego przygotowania podkładu pod super maść na obolałe mięśnie? Sam nie

wiem. Byłem tam zbyt krótko, żeby się przyzwyczaić. I jak wielu rzeczy w życiu żałuję, nad tym przedwczesnym wyjazdem nie ubolewam. Dzieciak przesadzał. Nie było tak źle. W jednym tylko miał rację – kasa marna. Poza tym tak jak wszędzie: sporo ludzi z moich stron ale nikt nie mówi zbyt dobrze po – jak to mówią – tutejszemu. Jak kto nawet potrafi to i tak siedzi cicho żeby jacyś „oni” nie pomyśleli że się wywyższa albo co gorsza że jest szpiclem, którego nie wiadomo czy się bać, czy na wszelki wypadek zawczasu dać po pysku.

Wielki Maks po paru kieliszkach miał mdławy wyraz twarzy krzywdzonego dziecka. Z tego co wspominał nie wynikało by kiedykolwiek działo mu się coś szczególnie przerażającego. To był raczej problem braku wsparcia, kiedy będąc kilkuletnim chłopcem uczył się zawiązywania sznurowadeł oraz brak entuzjastycznego przyjęcia wiadomości o nabyciu tej jakże wyrafinowanej umiejętności. Jego ojciec te, jakże ważne chwile w życiu swego dziecka przegapił, a Maks miał żal o to wypisany na twarzy. Pierwsze sińce pod okiem, pierwsza nagana w szkole, pogrzeb jaszczurki za płotem starej Marii – tej o której mówiono, że nie wiadomo jak wygląda. Ojciec tego tak naprawdę nie przegapił. Jego tam najzwyczajniej nie było. Nie oznaczało to braku poczucia jego obecności, wraz z tą pustką jaka zapada w domu po całonocnej awanturze. „Niedobrze, niedobrze, niedobrze” – przedrzeźniał ojca bawiąc się kalafiorami i zaschlą stertą liści – tajną bazą partyzantów. „Na co czekasz? Na co czekasz?” – improwizował chwilę kiedy ojciec po pewnym czasie

nieobecności pojawiał się w domu, zaś on, siedmiolatek w wiecznie umazanej koszuli wytrzeszczał oczy nie wierząc w to co widzi. „Na co czekasz?” – wołał ojciec. Maksymilian trzęsąc się ze śmiechu biegł w rozpostarte ramiona, uczepiał się ojcowskiego ubrania jak makatka gałęzi, chciał opowiedzieć wszystko ale nie był w stanie wypowiedzieć nawet jednego spośród setek cisnących się usta słów. Chwilę później ojciec robił obchód po domu. Zaglądał w różne kąty, wchodził na dach, do piwnicy, gdzieś po drodze poklepywał jego matkę powtarzając to swoje „Nie dobrze, nie dobrze, nie dobrze”. Po jednym czy dwóch dniach ojca znowu nie było. O chwale ustrzelenia wiewiórki, o wypatroszonej żabie i nasmarowaniu masłem klamki sąsiadów ojciec nie miał nigdy szansy się dowiedzieć. I choć wydarzenia te dla Maksa były osią wszechświata, sensem wszelkich sensów któregoś dnia jego oczekiwanie pękło, szczęło, zapomniało o tym, że czeka.

Trzydzieści parę lat później Maks pracował czwarty sezon przy zbiorze tytoniu. Ręce miał w kolorze ziemi, ciemnobrunatne, nieomal jak liście w suszarni, które z wprawą przebijał gigantyczną igłą. Swojej pracy nienawidził podobnie jak ojca i miał jej serdecznie dość pomimo satysfakcji z zajmowanego stanowiska, jakie obcowanie z tym zielskiem pozwoliło mu osiągnąć. Wieczorami po kilku szklankach wina kłął na swoją rodzinę i wychwalał kolegów, ale wyłącznie tych nieobecnych, bo ci na miejscu nigdy nie byli centa warci. Nigdy nie mówił o co tak naprawdę mu chodzi. Tego trzeba się było domyślać. Był roslym mężczyzną, w typie jakiego nikt nie chciałby spotkać w mrocznym zaułku miasta. Ostatni raz widział ojca stojącego

przed domem, w ogromnym niczym połać dachu kapeluszu, w czarnych butach i pustą fajką w zębach. We wspomnieniach Maks uwielbiał pastwić się nad tą fajką. Nigdy nie widział unoszącego się z niej dymu. Niezmiernie bawiła go ta myśl, szczególnie kiedy widział jak przez jego ręce przechodzą ogromne ilości tytoniu. Wspominał też wtedy swego stryja, „tego parszywca sknerę” – jak powtarzał, upychającego domowej roboty skręty w karton po Marlboro. „Cała ta moja familia jest do dupy” – wznosił szklanke. „Wszyscy mnie zostawili, ale i tak udało mi się wyjść na ludzi” – mówił ni to do siebie ni to do tych co zdawali się go słuchać, dodając skinieniem butelki w stronę gdzie siadywał: „Tak! Wyjść na ludzi! Wy... wy pokraczne dupki, tak to jest.”

Zadziwiające jest jak wiele można dowiedzieć się nie zadając pytań, a tylko pozwalając ludziom nagadać się do woli. Wcześniej czy później opowiedzą wszystko, czasem również to, co nigdy nie miało miejsca. Te wieczory były żałosne, chwilami irytujące, a i tak przyjemniejsze od płynących dni. Maks nie mógł wiedzieć jakiego marzenia było spełnieniem jego narodzenie i jakim to marzenie stało się ciężarem. Pod jego zmierzwioną czupryną ojciec był bohaterem, zbiegiem, handlarzem niewolników, wciąż zbyt zajęty na odwiedziny rodzinnych stron czarownikiem i odkrywcą krainy „nigdy-nigdy”. Śmierć uczepona ojcowskich płuc wgrzyzała się coraz głębiej dobijając targu z przeznaczeniem kilkadziesiąt kilometrów od domu w którym mieszkał, w kopalni. Dziś Maks to wiedział, wspominał o tym pomiędzy jedną butelką a drugą, niemniej

przeklinał wszystko to co za nim chwaląc to co teraz i z zadziwiającą wiarą to co będzie.

Maszerowałem tuż przy samej ziemi. Chwytałem co było do wzięcia i upychałem sobie wysoko – zwłaszcza biorąc pod uwagę pozycję głowy – między nogi, dokładając garść po garści, z pozoru niedbale, skądinąd najlepiej jak potrafiłem, tak by połowy z tego co już zebrane najzwyczajniej nie zgubić. Przesuwać nóg nie mogłem zbyt szybko, poświęcałem temu całą uwagę, ale mimo napięcia wszystkich mięśni, zmarszczonego czoła i skurczu w lewej stopie, co parę metrów na nowo zbierałem to co właśnie mi wypadło. Później, kiedy już prawie miałem tę radosną przygodę z rolnictwem za sobą, dotarło do mnie, że w tym napięciu krył się cały mój błąd, niezrozumienie tego po co tu przyjechałem. Tego dnia na podobne filozofowanie było jeszcze zbyt wcześnie, a niechęć do powietrza którym oddycham i wszystkiego co mnie otacza zbyt wielka by cokolwiek racjonalnego mogło do mnie trafić. Swoje wiedziałem, ta praca nie była moim powołaniem. Sam tytoń był w tym wszystkim kompletnie wyabstrahowanym zielskiem. Nie myślałem o paleniu papierosów, raku płuc, ekskluzywnych zapalniczkach czy przyciężkich biznesmenach z cygarami w zębach. Tytoń kojarzył mi się z grubą Kubanką o imieniu Manuela, śliniącej liście dojrzałymi jak morele ustami i ugniatającej z tych liści spoconymi udami kształt zeppelin. Praca Manueli przeistaczała się w kłęby dymu i stalowoszary popiół w łapach nowojorskich gangsterów. Było coś kuszącego i

odrażającego w tej wizji. Miałem i zawsze ją mam widząc jakiegokolwiek cygara.

Prawie się czułgałem, a słuchając pudła trzeszczącego do mnie językiem jednakowo znajomym jak obcym dochodziłem do wniosku, że jestem gdzieś na wschód od Miasta Ulic i na zachód od Miasta Deszczu. Niezbyt to precyzyjne. Miejscowość dworca kolejowego była na mapie, tego gdzie się później znalazłem na żadnej z dostępnych mi map już jednak nie zanotowano. Jakoś tu dotarłem, coś mnie przywiozło, coś, jakieś kompletne zaćmienie umysłu przywiodło, spowodowało wybór tak urokliwych wakacji. Autobus nie miał wypadku, pociąg się nie wykoleił, widać tak być miało, jestem gdzie być powinienem, przeznaczenie, i jestem taki jaki jestem: ubabrany gliną i bardziej zidiociały niż masochista w najodważniejszych fantazjach.

Zapowiadano deszcz. Na moje nieszczęście nie spadła nawet kropla pozwalająca pomarzyć o rozprostowaniu kości. Jak w końcu spadł, to padał i nie mógł przestać. Liście nie mogą być mokre bo źle znoszą wtedy transport to i póki co wszyscy byli zadowoleni ze słonecznej pogody.

Pełnące obok kobiety wyzywały od kurw i szmat jedną spośród siebie, głównie dlatego – jak zrozumiałem – bo jest osobą która wie z kim się puścić żeby ubić nie do końca rozumiały dla mnie interes. Wyobraźnia popychała moje towarzyszki niedoli do wysnuwania wyjątkowo fantastycznych teorii na temat korzyści w jakich miała rzekomo współudział. Brak dobrego smaku Marii, bo tak

miała na imię, był dla mnie oczywisty z chwilą jak padło słowo Maks. Wyobraźnia podsuwała widok jego łap odgarniających jej włosy, to jak ona, tak drobna, snująca się po przeciwległej stronie pola, wczepia palce w cielsko tego ogromnego chłopca, jak on jedną ręką rozpinając spodnie drugą zdziera z niej ubranie, jak ona się pręży, miarowo porusza, mruży, on na nią opada, wreszcie spluwa, przeklina, purpurowieje... no tak, coś w mojej wizji było nie tak. Słuchając pracujących obok kobiet ogarniało mnie błoto, wspinało się po kolana zdając się chcieć wejść jeszcze wyżej. Maria, wiedziona była straceńczym planem polepszenia swego bytu. Fascynowała ją siła, pieniądź oraz to jak można go zdobywać nie nadwyrężając karku. Najzabawniejsze było to, że Maks za pierwszym razem kiedy zdarzyło mu się z Marią spotkać bliżej niż zwykle, zupełnie tego nie zapamiętał. Próbował nawet zaprzeczać, grozić pięścią każdemu kto odważył się powtarzać „te bzdury” i że zabije każdego kto doniesie o sprawie jego żonie. Zrobił to w jadalni, przy brzęku tłuczonego szkła, zapalonym światłem, odsłoniętych oknach, drzwiach rozwartych na oścież nie wspominając o trzech nie do końca świadomych tego co się dzieje osobach. Maks jakoś się moralnie po zdarzeniu pozbierał, Maria zaakceptowała myśl o adoratorze, wszystko wróciło do normy, nawet zdjęcia jakie ktoś w trakcie imprezy wykonał na miłe prośby uczestników zostały unicestwione, zaś ich autor już po trzech dniach wyglądał na tyle dobrze by móc wrócić do pracy. Ludzie uwielbiają gadać, Maks i Maria tego lata na przestrzeni kilkudziesięciu hektarów stali się głównym

tematem rozmów, taką żywą telenowelą, najprawdziwszym reality show z domieszką burleski.

Spalona słońcem i oparami alkoholu twarz Maksa wyrażała dystans jaki przy odrobinie rozsądku należało zachować wobec miłościwie nam panującego majstra, brygadzysty, kierownika – samej nieokiełznanej opatrności bożej. Ta twarz miała w sobie coś znajomego i odpychającego jednocześnie. Kobietom się podobał, choć podchodził do nich dość instrumentalnie. To mogło imponować: szybko, tanio, bez zobowiązań, satysfakcjonująco. Nie ważne czy była to dziewczyna wydająca połowę pensji na kosmetyki czy kobieta o smaku cebuli i czosnku – jaką była Maria w obecnym pseudo monogamicznym związku z Maksem. Na widok takich typów każdy facet ma ochotę powiedzieć głośno: „pocałuj się tam gdzie nie dajesz rady się pocałować”, w duchu dodając: „jak ty kurwa to robisz, że one cię chcą?”. Układ Maksa z resztą lokalnej społeczności, był relacją rottweilera do wyliniałych kocurów, łapiących czasem myszy, ale tak czy owak zasługujących na to by obedrzeć je ze skóry albo w odruchu humanitaryzmu przynajmniej wykastrować. Najzabawniejsze jest to, że Maks w końcu okazał się całkiem przyjemnym człowiekiem. Jakimś cudem musiał pojąć, iż tak naprawdę nikt nie chce zajmować jego miejsca.

Przez pierwsze dni pracy pachwiny, genitalia, jak i to co miałem w miejscu kręgosłupa, dotkliwie odczuwały bezkompromisowość prób dotrzymania tempa reszcie grupy. Bardzo często zostawałem w tyle, tonąc w wilgotnym gruncie i liściach tytoniu nie utrzymanych przez omdlałe

uda. Po kilku dniach szło mi znacznie lepiej, to znaczy nauczyłem się oszukiwać jak inni i w czasie gdy jedni klęli na drugich, mogłem nawet patrząc na Maksą zastanawiać się nad płcią Pana Boga. Miałem poważny wewnętrzny dylemat. Skoro nasz Maks różnął baby z zaangażowaniem ogiera zarodowego, pił każdego rodzaju alkohol, jednocześnie był stworzony na obraz i podobieństwo... to sam stwórca, mimo najszczerzej woli żeby tak nie było, musi być w pewnym stopniu podobny do kogoś takiego jak Maks. Trochę było mi się wstyd własnych myśli, ale z drugiej strony ta nieujarzmiona siła...

Poranki bywały okrutne. Włączało się małe, chrypiące plastikowe pudełko z czerwonym wyświetlaczem, na nim sześć dzielone przez dwa zera, pipczące aż do sześć dzielone przez zero pięć, gdy ktoś łaskawie podchodził przełączając na kończące się właśnie prognozą pogody wiadomości. Wbrew pozorom ten, który to robił, nie zasługiwał na wdzięczność czy uznanie. Chcąc nie chcąc dowodził tylko słabych nerwów dając się podnieść z łóżka obmierzłemu sygnałowi, podczas gdy reszta pozwalała się w tym czasie sprowokować jedynie do wpół sennego zlorzeczenia na zbyt krótki wieczór.

Później trzeba było się zwlec z piętra metalowego barłogu, zedrzeć sen zimną wodą, zapach wyśnionej, świeżej wiosny przemieszany z aromatem napastowanej skóry oficerskich butów. Rano ciało wślizgiwało się w zabłocone ubranie, żołądek zataczał kręgi wokół kuchni, tyłek siadał, usta wchłaniały co popadło, później podwórze, mikrobus i znów pole. A pole było przepiękne, ciągnęło się po horyzont, pas

zieleni aż po błękitny horyzont. Byłoby całkiem uroczo gdyby tylko nie ten ból w plecach.

Zgodnie z moimi oczekiwaniem wszędzie jest porządek i każde zdarzenie ma swój czas. Określone zdarzenia następują miarowo po sobie, niektóre złożenia czasoprzestrzenne jak choćby Maks i zlew nie występują nawet w formie paradoks. Przez wzgląd na zachowanie równowagi energii we wszechświecie zmywanie i obieranie ziemniaków dopada mnie odpowiednio częściej.

Główny plac przed jadalnią wylany był betonem. Na lewo od kuchni znajdował się wychodek, po przeciwległej stronie rupieciarnia i kilkusetmetrowa stodoła przekształcona częściowo w skład łóżek, konkretnie w mój aktualny dom. Kolorytu przestrzeni dodawał stojący pośrodku placu podparty ceglami wóz kempingowy. Była też umywalnia, traktor, mikrobus i jakiś mercedes do którego zwykli śmiertelnicy nie mieli dostępu. Najważniejsza i tak była kuchnia, błogosławiona żywicielka i międzynarodowe centrum kultury.

Oddycham. Zza okna trzęsącego się samochodu, ponad sięgającą horyzontu płaszczyznę zieleni unosi się szereg zwiewnych kotar, tak przezroczystych, odległych a namacalnych niczym kurtyny teatralne poruszane w zgodzie z podmuchami wiatru, jedne wyżej, inne nisko stykając się z ziemią, bliżej i dalej, oszołamiając ogromem przedstawienia. Niewysłowny spektakl z puchu chmur jako zaproszenie udręki na własne życzenie.

– Idiota – myślałem. – Jak można było zdecydować o przyjeździe tutaj?

Patrząc w przestrzeń można doznać i smutku, i powagi, zamyslenia; radości tylko wówczas, gdy na horyzoncie wypatrzymy miejsce do którego zdążamy, i tylko wtedy jeśli chcemy tam dojść. Kiedyś uwielbiałem takie miejsca. Pola ciągnące się w nieskończoność, ludzie przemyskający na granicy widzialności, świetna perspektywa na snucie marzeń, na to durne odkładanie życia na później.

Patrzę na pole. Po kilkudziesięciu minutach nie wiem już niczego, nawet tego gdzie się to wszystko zaczyna, a gdzie kończy. Zapominam jak się nazywam i znów przeklinam pomysł z przyjazdem w takie miejsce. Liść nie może być zgnieciony! Narasta w środku nienawiść do wszystkich palaczy. Pole tytoniu przerastało moje wyobrażenia. Złożeni w pół obrywaliśmy krzakom dolne liście. Było nas jakieś dwadzieścia do trzydziestu osób, którym z płaszczyzny zieleni wystawały tylko tyłki. Szybki ruch oderwania liści tuż nad samą ziemią, obluzowanie ud, pchnięcie garści w kierunku krocza, mały ruch do przodu i zanim wzrok zdąży powędrować o jeden krzak dalej ręka już tam jest, zagarnia, urywa, upycha. Wszystko jednakowe: przede mną, za mną, jak w obłędzie. Przyczepa za traktorem oddala się w niepojęty dla mnie sposób. Ktoś mi kiedyś powiedział żebym robił co chcę a cokolwiek osiągnę będę miał do zawdzięczenia tylko sobie i że nie ma niczego wspanialszego w życiu od satysfakcji z tego, że wszystko zawdzięcza się swojej pracy. Obrywałem te liście, myślałem

o glorii samowystarczalności i coraz intensywniej o tym czy jednak nie zagrać na loterii.

Pierwszego dnia pobytu czekało mnie w kuchniojadłodajni małe alkoholowe przyjęcie. Powód imprezy wyjątkowo mnie rozbawił. Chodziło o ukończenie budowy jakiejś drewnianej szopy. Sytuacja jak dla mnie paranormalna. Postawienie byle budy, szopy i taka impreza? Inaczej spojrziałem na całą sytuację dopiero następnego dnia, widząc to co nazywano szopą, to jak ciągnie się to kilkaset metrów, dając w swoim wnętrzu pracę całej armii pracowników sezonowych. Szopa była gigantyczną suszarnią. Z tej perspektywy wódka wlewana szklankami do gardeł pierwszego wieczoru nabrała zdecydowanie głębszej wymowy. Bourbon, czysta, coca cola, łyk wina, a o poranku ból głowy wielkości lotniskowca. Einstein miał rację. Przestrzeń, wielkość i czas to rzeczy względne. Kowadło wewnątrz mojej czaszki dowodziło poprawności teorii punkt po punkcie.

Nie sądziłem bym miał kiedyś okazję wjechać samochodem do katedry. Teraz to się ziściło. Miałem wrażenie życia dobiegającego końca, ponad głową strzeliste luki, do ścian przysunięte pilastry, rytmiczne, wzdłuż długiej, jedynej, majestatycznej nawy. Na końcu zamkniętej przestrzeni, niczym w wizjach odratowanych ze stanu śmierci światło, żadnych figur czy obrazów, nieskończoność pełni istnienia. Tylko to drewno, błękitnawa folia i dobijający warkot motoru. Tak jak w niemal każdej prawdziwej europejskiej katedrze suszarnia pełna

pokrzykiwań, zgiełku, ludzi snujących się po kątach niczym rzeka podczas powodzi.

Sznurek do przeszywania liści ma wrzynać się w palce. Inaczej nie da rady, tak musi być i już. Na tyle cienki by swobodnie prześlizgiwał się przez ucho igielne i na tyle mocny by utrzymać kilka kilogramów liści tabaki do czasu aż odparuje, zasuszy się kurcząc w odcieniach brązu i złota. Wieszaliśmy liście w pięciu rzędach na uprzednio powbijanych gwoździach. Poniżej, głównie kobiety, kładły szeregi więdnących liści na kolosalnej maszynie do szycia. Nici się plątały, dziewczyny narzekały, ramię z igłą podskakiwało, a radio skrzypiało dopełniając ogólnej kakofonii. Gotowe do zawieszenia sznury odcinano nożem od maszyny, podawano na podwyższenie.

– Złazie!– ryknęło chłopisko. Głos miał wpeł ospały choć w natężeniu niepoahamowany.

Czerwono żółta twarz, błędny wzrok, więcej jak pewne mulenie w żołądku i kafar w głowie. To wszystko usprawiedliwiało takie zachowanie. Można było przywyknąć. Jesteśmy od tego by nas poganiano, a on od tego żeby poganiać.

– Złazie, złazie!– popędział. Po prostu musiał napawać się możliwością wpływu na innych.

– Złaz, bo przyrobisz!

– Ale Maks....? – coś zajęczało.

– Jak przyrobisz to nie zarobisz! – zaśmialiśmy się.

Chcąc nie chcąc zleźliśmy, inni spełzli, a jeden co mu się wydawało że to wszystko to taka jedna wielka zabawa, nawet zeskoczył przez co noga w kostce mu opuchła i po paru dniach musiał wyjechać do domu.

– Pchaj, pchaj! – przetoczyło mi się przez myśl i zanim ta myśl wydzwijała gruchnęła z gardła naszego majstra.

– Nie opierdajaj się tylko pchaj! – Maks nie wychodził z roli. Był w tym sumienny, metodycznie sprawny. Doskonały. Nasza scena popłynęła dziesięć metrów w głąb, kolejne rzędy powiewały w delikatnym przeciągu. Nie jeden z nas układał szczegółowy plan jak dopaść draba, pozbyć się ciała i jak sprawnie zadbać o przepływ informacji, by wina spadła na kogoś kto od dziesięciu lat już nie żyje. Trudno było Maksa pokochać. Niemniej im dłużej się pracowało, tym łatwiej można go było zrozumieć.

Przez mętną, niebieskawą folię docierały do naszych ubrań promienie zachodzącego słońca, stuk kropel deszczu mieszający się z brzmieniem światła i świszczącym drzeniem wydobywającej się z głośnika piosenki tworzył wyrafinowany obraz synestezji światła i dźwięku, istną muzykę serialną z nutą dodekafonii. Na traktorze siedział Chrystus w czapce trockisty, cuchnąca fermentacją fryzura gwarantowała, że nie będzie musiał schodzić do pomocy w czymkolwiek, pomimo tego, że wszyscy marzyli o zastąpieniu przekładania tytoniu powolnym kręceniem kierownicy.

Dni kończyły się bardziej jutro niż jeszcze dziś. Podpici robotnicy około jedenastej wieczorem przypominali wszystkim sąsiadom skąd są. Może jednak nie do końca, bo i skąd miejscowi mieli znać nasze kołеды czy przyspiewki ludowe, nawet te twórczo wzniesione na wyżyny sztuki operowej w rodzaju moniuszkowskiego „góralu czy ci nie

zał”. Zazarcie dyskutując oburzali się na wszelkie uwagi, nie chciani przez jednych odnajdywali poklask u drugich. Tygodniami żyli w zawieszeniu pomiędzy jednym wyjazdem do domu a drugim. Ci którzy starali się żyć tak jak u siebie – bez ekscesów i zbędnego hałasu, innymi słowy ci którzy starali się w nocy spać i tak w ciągu dnia mieli tę samą przyklejoną cenzurkę na plecach co bohaterzy podbojów o zmroku. Tak to już jest i tyle. Jedni wyjeżdżają z domu dla pieniędzy a inni pieniądze zdobywają przy okazji. Głównie chodzi o to, że tak naprawdę mają dość miejsca w którym żyją, dość żony, sąsiadów, dzieci, księdza z parafii. Przypominają trochę psa spuszczonego z łańcucha. Takiego „wyskokowego” psa miałem kiedyś to wiem o czym mówię. Pies wiódł całymi latami spokojny żywot zwierzaka przydomowego, bywały jednak takie dni kiedy z rozgorączkowaniem w oczach umykał spod jurysdykcji autokratycznych rządów swoich właścicieli sobie tylko wiadomymi sposobami (których ślady można było zaobserwować na poniszczonym ogrodzeniu) wychodził, czy raczej wybiegał na godzin kilka w teren. W sumie nie wiem czy było to takie złe. Trzymanie na siłę mogło być bardziej przykre niż czasowa rozłąka. Mieliśmy też kota, który choć przywiązany do domowników nie zawsze podzielał ich poglądy i w proteście potrafił przyozdobić próg domu swoimi ekskrementami co – jak można się domyślić – doznaniem było równie wyrafinowanym co odrażającym. Kiedyś i on nie wytrzymał i swoje futerko wyprowadził na półroczny spacer po którym niemal całkiem zdziczał. Tutaj ludzie byli dobrzy i chyba tylko brakowało im uwiary, że życie kocha ich bardziej niż im się kiedykolwiek wydawało.

W środę po śniadaniu wstrząsnęła mną wielka góra marchewek! Coś pomiędzy swingiem a cha-cha, rytmicznie podskakujące zwały soczystych korzeni, stłoczone na gigantycznej platformie wielkości domu. Przyczepy zdolne pomieścić cztery orkiestry strażackie każda, przepłynęły mi przed oczami tą samą drogą, która wiodła mnie na pole tytoniu. Stojący obok Franek powiedział:

– Stary! Nie jest jeszcze tak źle! To ciągle cała góra marchewek zamiast jednej wielkiej!

– Że co? – coś nie nadążałem

– A no wiesz, przemysł, genetyka, przetwórstwo, a tu taka zwykła marchewa.

– Ale dużo tego trochę – dodałem.

– I dobrze. Jest co robić – rzucił z uśmiechem odwracając się w stronę umywalni gdzie dopiero co przemysł twarz subtelnym zapachem torfu z zastygłej rury.

Wszystko pachniało wilgocią. Zawiesina w powietrzu nie pozwalała przeschnąć ubraniom przez noc, lepka bielizna chłodziła pośladki a zwiędła kurtka była jakby ciągle przyciężka. W środę zaraz po wyjeździe w stronę pola zaczęło lać. Z jednej strony radość – nie trzeba giąć karku, można poleżeć marząc o wakacjach na Barbados, kasy jednak z tego żadnej, takie zasady. Jak pada nie można składać liści bo mogą utracić swoje właściwości, sparzyć się czy jakoś tak i generalnie nadawać się tylko na śmietnik. Część załogi dostała robotę zastępczą: gięcie haków do suszarni. Reszta leżała, parę osób coś tam czytało, zaś dwóch chłopaków w tym deszczu zaczęło jeździć w kółko

po placu na starych rowerach. Rowery były na swój sposób niezwykle. Nie wiem czy ze względu na niedbałość właścicieli czy na muzealny charakter tych demonów prędkości? By ich dosiąść należało wprawdzie ogarnąć nieco wiedzy teoretycznej i zasadniczo zapomnieć sporą część z tego co dotychczas wiązało się z jazdą na rowerze. Hamować należało piętami, na jednym z pojazdów lepiej było nie siadać – chyba, że komuś nabicie na wystającą rurkę sprawia wyjątkową frajdę.

Padło coraz intensywniej. Głowiłem się nad tym co zrobić by mój dalszy pobyt tutaj miał jakiś głębszy sens. Podjąłem decyzję, że napiszę o tym książkę. Nic z niej nie wyszło, niemniej na jakieś parę dni miałem zajęcie. Reszta wypełniała czas jak mogła. Człowiek z nudów ma ochotę nazrecić się odżywek dla roślin i rozbłyskając jak choinka bożonarodzeniowa wszystkich roztopić w miękkim jak kluski wzruszeniu. Niebezpiecznie jednak jest tak leżeć beczynnie na wyrku z przerwami na kibełek, zatęchłą zupę, majaki na temat uratowania od głodu i nędzy trzech czwartych nieobecnego tu świata. Do głowy przychodzą różne kretyńskie pomysły: chęć kandydowania do parlamentu czy przerabianie piasku Sahary na szklane metropolie.

– Łap!

– Łap! Łap!

Na placu zawrzało. Deszcz nie przestawał padać, rowery oddychały pod wiatą. Chłopaki coś wymyśliły. Z wnętrza trudno było dojść, czym się zajęli.

– Łap!

- Sam to łap. To śmierdzi!
- I co z tego, że śmierdzi? Ty też śmierdzisz!
- Ale oślizły. Łaaa!

Koniec z ugniataniem kołderki. Pragnienie wiedzy wyzwala w ludziach zdolność do heroicznych czynów jak wyjście na plac pomimo ulewy.

Tuż pod drzwiami dwóch najwyraźniej zdrowo stukniętych chłopaków, w strugach deszczu ustalało zasady wyścigów ślimaków. Po chwili ci co przyszedli a równi z tymi co już tu byli powrzaskiwali dorzucając swoje pomysły.

- Dawaj go!
- Ciągnij!
- Dawaj, dawaj! Posyp go solą, albo zapalniczką go!

Tak przypiecz mu ogon!

- Aj ty idioto! Jak jesteś głodny idź do kuchni.
- Beznadziejne. Meta jest tam, a on lezie w stronę

warsztatu.

Opracowano tor wyścigowy. Bieżnie wytyczono belkami. Żeby ślimaki nie chciały na nie wchodzić posmarowano je smarem. Ktoś proponował smar podpalić, lecz z powodu licznych protestów domorosłych ekologów nie wspominając o pogodzie, pomysł upadł. Pierwotnie zaplanowano trasę długości czterech metrów jednak po około 15 minutach rywalizacji zdecydowano przesunąć linię mety o całe trzy i pół metra bliżej linii startu.

- Dawaj go!
- Naciągnij trochę!
- Ej! Bo go wyrwiesz! To się nie liczy!
- Odwal się. Sam próbujesz ciągnąć za rogi.
- Za jakie rogi?

– Ooo! Za te.

– Idiota! Chcesz mu łep urwać? Gdzie my teraz drugiego znajdziemy?

– A jak zdechnie to będziesz musiał go zjeść.

Wszyscy zebrani podchwycili:

– Tak, tak! Jak przegrasz musisz go zjeść!

Wyobraziłem sobie gigantycznego ślimaka osiodłanego niczym wielbłąd przemierzający pustynię Gobi. Na nim chłopaki z pokrzykiwaniem: „ciągnij bardziej za uprząż, ciągnij, zepnij ostrogami”.

Jeden nie wytrzymał:

– A wy się czego tak gapicie?

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Trenerowi ślimaka zrobiło się najwyraźniej niezręcznie. Po chwili ryknął na przeciwnika z gracją zrzucając z siebie dyskomfort:

– Naciągnij tą smycz ale nie odrywaj go od betonu!

Dobra, dobra! Taaak! – z ulgą dodając – pięknie idzie!

Ten bardziej nerwowy miał na nitce przynętę. Umieścił ją parę centymetrów przed nosem (czy ślimak ma nos?) lewą ręką rytmicznie uderzając o beton. Z grubsza przypominała wyrośniętą kijankę. Trochę pokpiwaliśmy z przynęty, oniemiałszy jednak widząc jak ślimak wyraźnie za nią ruszył

– Tchórz! Tchórz! – publika skandowała. Jeden z zawodników na półtorej minuty zamknął się w skorupie.

– Ciągnij go ciągnij!

– Sam sobie pociągnij!

Publiczność szalała:

– Będziesz go musiał zjeść! Będziesz go musiał zjeść!

Ślimak powoli wysunął jedno oko, potem drugie, ruszył, właściwie zakotywał się, kijanka wiła się na uwięzi. Idą dalej, my przeżywamy, ślimaki zdają się chcieć pożreć przynętę. Deszcz ciągle pada, miękkie stopy mięczaków znaczą śluzem teren.

– Ej! Stój!

Nim wszyscy usłyszeli zawołanie kijanka wiła się w dwóch częściach po betonie. Jeden z ślimaków bardziej teraz przypominał rozdeptane kurze jajo niż muskularnego sprintera podczas mityngu lekkoatletycznego. Drugi zawodnik przeżył. Zamknął się w sobie i do następnego dnia nikomu nie udało się go nakłonić do wyjścia. Pewnie zamknął się bardziej z powodu nieustannego doglądania go przez wszystkich niż z przejścia tragedią. Pech ominął go jednak tylko pozornie. Z niewiadomych powodów rano znalazł się w herbacie. Samochód szefa stanął na końcu placu. Gracze zostali zbesztani za układanie belek na podjeździe. Wszystkich dopadło bezbrzeżne poczucie bezradności. Szef spojrzął na nas jak na zmokłe wróble i utonął w czeluściach swojego domu.

– Widzisz synku – starszy facet siedział z założonymi rękami kiwając się na krześle – na życie to trzeba patrzeć jak na pasmo nieszczęść przerywane chwilami kiedy masz na piwo i kobiety.

Usiadłem obok, mężczyzna gadał do kolegi gapiąc się w okno, głądził tak mówiąc do niego a jednocześnie jakby mimo niego. Ja patrzyłem na fotografię sportowca wydrukowaną na ostatniej stronie miejscowego brukowca. Czarna, napięta skóra, pot, skupienie i wstrzymany przed

startem oddech. Sam nie wiem czy bardziej zachwyciło mnie wykonanie fotografii czy postać którą przedstawiała. Tradycja miłości prawdziwej a pięknej zarazem, choć z głębi tradycji europejskiej wywiedziona jak i modlitwa do matki boskiej wszetecznej była mi obca, ale to ciało...

– Życie jest do bani – stary nie dawał spokoju, opowiadał o biedzie na wschodzie i złodziejach którzy tylko pchają się do władzy. Przestał się bujać na krześle i w kącie razem ze swym słuchaczem wziął się za porządkę.

Murzyn tkwił na stronie brukowca jak kamień wciśnięty w asfalt fantazji rasisty. Nawet nie drgnął. Blaszyany kubek zasłaniał mu ramię. Chłodna kawa powoli sączona traciła smak. Złożyłem papier wpół łyżką mieszając w cukiernicy.

– Patrz jaki syf – obok płynął nieprzerwany strumień afirmacji.

Stary miał jednak w tej chwili sporo racji. Lekko się rozpogodziło. Na podwórzu biegały dziewczyny rzucając majtki w błoto. Piłem kawę, gryzłem cukier i na swój sposób wydało mi się to wszystko zabawne.

– *Intra vulnera tua absconde me* – stary wznosił się na wyżyny poplątania. Banał egzystencji splótł z tekstem świętego Tomasza przerzucanego wraz z innymi papierami na podpałkę. Sądząc po literaturze przeznaczony do spalenia ktoś tu najwyraźniej przeżył kryzys wiary gubiąc jej sens wymierzając Nieskończonego linijką. Bez względu na słuszność czy absurd palonych treści nam po chwili zrobiło się cieplej. Przesławało padać i była szansa, że za niedługo zarobimy pełną dniówkę.

Życie bywa piękne. Nie! Życie jest piękne. Nie znasz dnia ani godziny kiedy uśmiechnie się do ciebie i ludzie zaczną darzyć cię szacunkiem. Nawet Maks puchł z podziwu sprawiając wrażenie jakby chciał się zaprzyjaźnić. Pracował ze mną chłopak z moich stron. Przeżywał poważne uniesienie, nie na tyle jednak szczerze by nie pytać kolegów czy jego dziewczyna jest ładna. Dawno nie trzymałem w rękach ołówka, robota nie sprzyjała dotąd ekspresji twórczej, niemniej to, co wykoślawiając rzeczywistość narysowałem na podstawie zdjęcia ucieszyło zleceniodawcę dając mi splendor i poważanie. Zupełnie nieoczekiwanie pole od tamtej chwili było jakby mniejsze a ludzie jakoś zwyklesji, ciepli.

Niedziela bywała wolna. W niedzielę wszystko miało swoje inne tempo. Ludzie snuli się powoli, właściwie to znikali pojawiając się dopiero na kolacji. Regularnie co tydzień przez środek podwórza około godziny jedenastej przebiegał pies. Prawie nigdy nie szczekał. Łazienka pusta, stodoła w oddali, pies jak to pies, ale w razie potrzeby jest z kim pogadać. Tylko te jego uszy strzygące jak szpiegowskie radary i ślepa niczym dwie lampy rentgenowskie. Gdyby tylko nie przygryzał swojego ogona traktowałbym go jak drugiego człowieka.

Niedziela to podobnie jak w domu czas na wyjście do kościoła. Fakt, tutaj jakby mniejsza presja. Poszliśmy nielicznym składem: szefowa, parę kobiet i trzech wyrostków z neurobionym sumieniem. Kościół wydawał się niezbyt obszerny. Wnętrze wypełniały głównie ławki zajęte gdzie niegdzie przez ludzi w średnim i podeszłym wieku.

Wystrój przestrzeni oscylował pomiędzy kalwińską ascezą a naiwną barokową groteską, tak typową dla wielu wiejskich świątyń. Było więc szczerze choć jak na możliwości pomieszczenia jakoś bez przekonania.

– E! Ty! Patrz! – dostałem łokciem w bok.

– Co!

Trzy ministrantki od kilku minut przemieszczały się pod ołtarzem.

– Żeby to moja babcia zobaczyła! – chłopaki zaczęli chichotać a mi na twarz krew wezbrała jak dotarło w końcu do mnie dłaczego.

Trzecim ministrantem był miejscowy pastor, właściwie pastorka – tak chyba trzeba było powiedzieć. Język wciąż znałem słabo, została mi rozkosz akustyki wnętrza, klarowne brzmienie organów i buczenie zebranych ludzi.

Kiedy bawiłem słuch doznawaniem dźwięku kilka osób z naszej brygady wybrało się na pizzę do włoskiej restauracji. Lokal średniej klasy z tendencją do lekkiego zaniedbania, obsługa swojska, tylko nasi nietutejsi. Ciasto dobrze wypieczone z odrobiną kurkumy i oregano, rozsypane czarne i zielone oliwki, ser gouda, rozszarpane kawałki kałamarnicy i podobne strzępy tuńczyka. Później piwo, wino, jakieś zakąski, dwie trzy godziny i po sprawie.

Restauracja jest jak ta słynna niemoralna winda, każdy może w nią wejść, niewybredna przyjmuje każdego kto płaci. A każe sobie płacić słono. Metafizykę knajpianego klimatu wzbudza spienioną zawartością kufła a sprowadza na ziemię podsuniętym rachunkiem. Rachunek nie był mały, szczególnie jak na możliwości pracowników sezonowych, ale do udźwignięcia. Niemniej i tak wszyscy wrócili skwaszeni,

wewnętrznie wymięci. Pochowali się w swoich kątach i nie mieli ochoty na jakiegokolwiek rozmowy. Ktoś tam coś poprzeklinał, później było już tylko cicho. Zbyt cicho.

Doszło ostatnio do tego, że w celu upokorzenia człowieka nie trzeba się nad nim fizycznie znęcać, obrażać czci jego matki, wyśmiewać wyglądu czy prostackiego zachowania. Wystarczy stwierdzić, że na coś go nie stać. W knajpie znalazł się taki gość, który w krótkim monologu zdołał wyśmiać głupotę stołowania się w pizzerii przez ludzi zarabiających miesięcznie tyle co on w ciągu kilku dni. Ponoć przewrócił się stół, jakaś koszula się podarła. Nikt od nas już tam nie chodził. Kiedy wszyscy ochłonęli było o czym gadać przez następnych kilka dni.

Ostatnia niedziela była wyjątkowo obfita w niecodzienne wydarzenia. Prócz burdy w knajpie i godziny w audiosferze kościoła dzień ten był okazją do wyjazdu na wyprzedaż do pobliskiego miasteczka. Pojechała dwójka chłopaków. Zaledwie dwóch bo tylko dwa rowery nadawały się do jazdy. Były oczywiście jeszcze pojazdy firmowe, one jednak potrafiły poruszać się wyłącznie na trasie pomiędzy polem a naszym placem, do tego w niedzielę bardzo niechętnie. Na wyprzedaży chłopaki kupiły jakieś firmowe sportowe obuwie: oryginalne, amerykańskie, sygnowane przez fabrykę z okolic Ułan Bator. Na pierwszy rzut oka przypominały skrzyżowanie sprzętu rolniczego z lotniskowcem. Kiedy wrócili pokazywali wszystkim swoje szczęście, naszywki, sznurowadła i paragon z adnotacją, że to wszystko o trzydzieści procent poniżej ceny nominalnej. Świeżo zarobiony pieniądź przestał ich palić. Mogli znów spokojnie zająć się pracą.

Jeszcze kilka dni. Na polu pozycja zaczerpnięta z kart duńskiego pornomagazynu, wilgotna ziemia, w nocy przykrótki koc i chłód od okna. Wszyscy chcą do domu, dom to jest to na co wszyscy czekają. Wyjeżdżam. Bezsprzecznie. Jeszcze nie wiem dokąd. Pieniądzy na przeżycie reszty roku trochę mało. Codziennie koło szóstej rano drogą przechodził starszy mężczyzna prowadzony przez przydługiego jamnika. Pies poszczekiwał, mężczyzna przykładając dłoń do ucha najwyraźniej szczekania nie rozumiał. Od piątku przestałem się zastanawiać po jaką cholere w tym miejscu tak się drze.

Rzeka

Festina lente, ty wiesz... śpiesz się powoli, bo *panta rei*, wszystko płynie i dlatego, jakby coś działa się nie tak, pamiętać muszę: *In te Domine Speravi*. Kocham tę starą muzykę. Woda to potrafi, bez satysfakcji i z uporem przemijać. Szumi, wciąga za sobą wijąc się, wpada w czeluść wilgotną, chłodną, niewiadomą. Wydaje się być jak poezja choć na jej brzegu gromadzi się szlam. Niemy, cierpliwy, tak jak tylko to miejsce potrafi być. Niezależnie od tego czy chcesz czy nie. Przekraczając wymiar uległości wiary kiedy idziesz do kościoła i próbujesz się modlić, modląc się myśląc, że modlić się nie potrafisz. Woda płynie. Brzegi błyszczące, skrzące się czystością bieli tak bliskie, namacalne, nieprzyjemne jak lateksowe rękawice, jak zapach płynu do czyszczenia, przypominające wypolerowaną kłankę i kran, zlew, rury pod nim, na wpół spocone kafle pod nogami.

Za drzwiami były schody prowadzące na pokład. Schodów tych nie lubiłem. Było w nich coś przygnębiającego. Były wbite pomiędzy to co na dole a swobodą i beztróską widoku za oknem gości zjadających kromki z serem za cenę godziny mojej pracy każda. Czasem wydawało się to nawet jakby zabawne. Zwykle przygnębiało. Zastanawiałem się czasem jak zareagowałiby moi

pracodawcy gdybym poprosił ich o jednorazowy kurs statkiem jako gość. Nawet chciałem kiedyś na to poświęcić wolny dzień, jednak jakoś nic z tego nie wyszło. Kiedy nie pracowałem lubiłem patrzeć na Ren. Jednak nie popłynąłem i chyba na zawsze już rzeka ta będzie kojarzyła mi się ze stosem brudnych naczyń, żeliwnym grillem na gazowym piecu, formatem okien jakie chciałbym mieć w domu i znużeniem z jakim wraca się po kilkunastu godzinach pracy. Jednak lubiłem to miejsce, lubię je nadal, jest za mim ta dziwna tęsknota, jak za kochanką która ledwie tknięta zostawiona jest dla wspomnień, budowania ołtarzu uwielbienia, wiedząc skądinąd, że zbyt długo nie dałoby się z nią wytrzymać. Życie jest pełne niespodzianek, miłszych, takich jeżących włosy na przedramieniu, ogłuszających jak wyrzut sumienia: - na co czekasz?

Jakiś cień i czyjś rower ścigają się śladem wczorajszego człowieka.

Nie wiem dlaczego tak pomyślałem. Stałem na moście Kennedy'ego i próbowałem robić zdjęcia. Od kiedy dowiedziałem się o połączeniu Renu z Dunajem, woda pode mną pachniała jakoś inaczej. Było w niej więcej szmeru starego miasta, a wraz z nim bukiet, tak rozkosznie miły, znad Moseli, i zadziwiający mikrosmog wiedeńskiej palarni kawy.

Rzeka to jedność i płynność. Ja tymczasem stałem na czymś co dla rzeczywistości rzeki jest prawie bluźnierstwem, a na pewno czyś wspan. Most jest taką upartą niezgodą na kierunek prądu rzeki. I choć sam nie wiem co by to miało znaczyć, pomyślałem że myśl o niezgodzie jest ważna i

warto by ją było zapisać. Jak się domyślasz nie zbyt się z tym śpieszyłem, i daj Bóg że Bóg wybaczy a ludzie się nie dowiedzą... no i nie śmieję się ze mnie! Byłem zdenerwowany. Ręce mi zwilgotniały, gardło zwięzło, sam na moście próbując zrobić zdjęcie właśnie gubiłem filtr. Wypadł mi z ręki. Nie mogłem pojąć jak mogło do tego dojść skoro trzymam ciągle jego metalową obejmę. Szkło toczyło się po bruku i ani myślało oglądać się za swoim właścicielem. Szkło które było moim marzeniem i trochę kosztowało, leżało gdzieś zupełnie bez sensu oderwane od objęcia w jakie zaopatrzyła go jedna z najlepszych fabryk optyki. Chciało się kłąć i płakać jednocześnie. Jeszcze nigdy dotąd perspektywa utraty jakiejś rzeczy nie bolała mnie tak bardzo. Wiesz, to był ten filtr polaryzacyjny, upiększający jak mówisz, sprawiający że świat ma żywsze barwy. Przejechał tramwaj. Ja wciąż tkwiłem w miejscu niczym osioł rozglądający się za niewidzialną marchewką.

Drogą szedł kondukt żałobny. Limuzyna biała, limuzyna czarna, czarny wóz, para koni przed nim, kilka osób zajętych najwyraźniej bardziej sobą aniżeli tym za kim szli. Kwiaty. Morze kwiatów, ocean sztucznych róż i jeden bukiet żywych, wściekle różowych. Patrząc dalej, a za nimi wlecze się stary rower. Stary człowiek na rowerze nie zwracał na mnie uwagi. Patrzył na rzekę. Każdy most ma w sobie coś metafizycznego, karzącego patrzeć na to co dzieje się obok, a jak się da to pod nim. Takie to jedyne miejsce gdzie nie liczy się przyszłość i przeszłość. Na mostach czas płynie w poprzek – pomyślałem i sam do siebie uśmiechnąłem się. Mężczyzna przypomniał mi fragment starego wiersza; *Jakiś cień i czyjś rower ścigają się śladem*

wczorajszego człowieka. Nigdy go nie rozumiałem. Słowa uwielbiają wbijać się same w głowę i mrużyć, wyrwać się, czasem cicho, to znów głośniejszy, nawet z brzękiem nowego filtra o jeźdźnię, konduktem żałobnym i starcem na rowerze z niegdysiejszej epoki..

Ten rower wyglądał jak marzenie sprzed pięćdziesięciu lat. Takie przedmioty widywałem w muzeum albo na wsi w moich rodzinnych stronach i to już dobrych kilka lat temu. Czerni i biel jego ramy dokładnie współgrała z wyprzedzającym go konduktem. Właściciel zastanawiającej mnie konstrukcji zatrzymał się dokładnie w miejscu gdzie przed chwilą zrozpaczony stałem szukając mojej straty. Z bliska wydał się starszy niż myślałem patrząc jak się zbliżał. Miał twarz starca, o wiele bardziej poraną bruzdami niż pole jesienią, sprawiał wrażenie, że już raczej nie powinien wchodzić na rower. Jego jasny sweter i spodnie w szarą kratę delikatnie powiewały na wietrze. Ledwie się zatrzymał pochylił się niezdarnie, a zaraz po tym z energią poderwał całe tułowie usadawiając się na przetartej skórze siodelka. Odepchnął lewą nogą krawężnik i uśmiechem który wydobył spod zmarszczek wokół oczu o coś pytał. Chyba zrobiłem głupią minę bo powtórzył, teraz wyraźnie słyszałem: – No chłopcze, jak się wie?

Głos miał pergaminowy, miękko szeleszczący i ciepły. Wyciągnął do mnie rękę. Skostniałem. Podał dłoń, jakby młodszą zarówno od niego jak i od roweru. Trzymał utracone przed chwilą szkło, uśmiechnął się już jakby tylko do siebie i pojechał. Pewnie na pogrzeb. Byłem tego pewien. Trochę oszołomiony wkręciłem filtr na obiektyw. Przystawiłem aparat do twarzy. Zdjęć już nie robiłem.

Patrzyłem tylko przez wizjer. W kadrze wszystko jest takie uporządkowane i bezpieczne, na swój sposób przyjemne, pozwala zamknąć wszystko w ramach, ignorować to co poza nimi. Fotografowanie to bezbolesna nauka sztuki dokonywania wyborów. Cieszyłem się możliwością polaryzacji światła. Zmęczenie zagnało moje nogi do domu. Za parę godzin musiałem być tu ponownie, kilka metrów niżej - pod mostem - na statku.

Codziennie rano przychodziłem pod most Kennedy'ego. Most ten, za najbliższego sąsiada miał z jednej strony Konrada Adenauera, a z drugiej Friedricha Eberta. Płynąc poniżej tego ostatniego można było prześlizgnąć się pomiędzy objęciami mostu Maksymiliana Kolbe - męczennika i świętego. Ja jednak pływałem w górę rzeki. Spod ramion amerykańskiego prezydenta, pod prąd rzeki unosiliśmy się w kierunku wielkiego kanclerza i dalej, ku Mozeli. Nużyło mnie ślepe zapatrzenie na budynek parlamentu. Stał wyniosły, z perspektywy wody dostojny choć skazany na niepamięć. W niespełna kilkanaście miesięcy później cały parlament miał przenieść się na wschód, tam gdzie był przed II wojną, odbierając mojej szefowej sporą część dochodu. Jakoś tak bywa, co jest przemija. Zostaje tylko pamięć. Ja sam za kilka miesięcy też miałem stąd zniknąć i póki co z perspektywy wieczności dla mnie było to najistotniejsze: wrócić do domu.

Przeciwnie do mojego typowego w takich sytuacjach zachowania nie wytrzeszczałem oczu. Bohatersko zdecydowałem przyjąć wszystkie wymogi przełożonych. Nie

było to nawet takie trudne, szczerze mówiąc przychodziło mi to niezwykle łatwo. Ten ich lokalny dialekt był dla moich uszu jak czkawka w kompozycji Karlheinz Stockhausena, słowa zlepione i okrągłe, niczym bełkot. Ten język doprowadzał mnie do rozpacz. Nic, ale to nic nie rozumiałem! Jednak dzięki temu wszelkie krytyczne uwagi na mój temat spływały po moich plecach zatrzymując się na podszwach. Im dłużej pracowałem tym więcej rozumiałem, im więcej rozumiałem tym bardziej dziwiłem się ich cierpliwości do mnie. O tym jak mnie słyszeli wolałem nie myśleć.

- Nie zna języka? - właścicielka statku uśmiechała się ciepło kiedy moja znajoma pytała o pracę dla mnie. - To nic! Będziemy ćwiczyć!

I tak to wyglądało, każdego dnia. W krótkim czasie w moim słowniku pojawiło się kilka podstawowych pojęć: brudne, umyć, posprzątać, odkurzyć, osuszyć, zjeść. Na to ostatnie przyswoiłem najszybciej. Myśl o myciu talerzy, garów, przynajmniej tak mi się zdawało, była dotąd jakąś tam myślą zatroskaną. Przedzieranie się przez stopy brudnych naczyń jawiło mi się zajęciem równie niedorzecznym co odgrywanie bachowskiej Ave Maria w szklarni dla lepszego wzrostu roślin i równie odrzucające jak babranie się w wnętrzościach rozdeptanego ślimaka. Mogłem sobie śpiewać: „Z brudnego talerza ścieka coś, na krawędzi ma zdechłą kość, ubabrany paluchami, cały mi na złość”. Zmywanie kojarzyło mi się nieodmiennie z perfidną formą kary, ewentualnie z ucieleśnieniem spostrzeżeń o ślepym losie, fatum i spiskowej teorii dziejów. Żeby choć po tym co sam jadłem? Kilka osób w rodzinie wytwarza

niewyobrażalną ilość brudnych naczyń, ale to co się działo na statku, te stopy talerzy, garnków, szklanek, widelców, łyżek a nawet – pouczających, że nie wszędzie w życiu można się wcisnąć – sitek, powodowało, że czułem się malutki, taki tygi, ledwo z podłogi wystający, choć na pokładzie statku najwyższy.

Kilka dni po przyjęciu mnie do pracy dostałem od losu pomocnika. Był nim Marokańczyk. Mówił nienaganną niemiecką. Był przy tym najprawdziwszym Arabem, muzułmaninem z zacięciem pedagogicznym, który z niewiadomych mi do dnia dzisiejszego przyczyn uwielbiał edukować mnie z podstaw arabskiego począwszy pod zwrotów Bóg jest wielki, a więc Ali acbar czy Było to dla mnie nowe i nieoczekiwane doznanie. Szczerze powiedziawszy w czasie mojego pobytu w Bonn moja wiedza dotycząca kultury arabskiej zawężyła się do tego, że istniał ktoś taki jak Ajatollah Chomeini, długo, długo przed nim Mahomet, i przypadkiem poznany w kazaniu jakiegoś przemądrzałego kleryka Ibn Ruszd Abu Al-Walid Muhammad Ibn Ahmad Ibn Muhammad Ibn Ahmad Ibn Ahmad Ibn Ruszd (pisane jakoś tak: بن محمد الوليد أبو (رشد بن أحمد بن أحمد بن أحمد بن أحمد بن أحمد), czyli Averroes z całym jego wkładem w paradoks omnipotencji. Dla mnie cała ta paradoksalna mowa o ograniczeniach omnipotencji zawierała się w prostym pytaniu: czy Bóg – albo jakakolwiek niczym nie skrzepowana Wszechsiła, jest w stanie naprodukować tyle brudnych naczyń jakich nie byłaby w stanie pozmywać. Rozwiązanie paradoksu też było pod ręką i czy ja czy „mój” Marokańczyk, widzieliśmy, że Bóg ma ważniejsze sprawy na głowie niż nasze miski, patery i

sztuńce, a gdyby nawet, to dla kogo jak dla kogo, przynajmniej dla Niego, nieskończoność brudnych garnków nie stoi w sprzeczności z możliwością ich wyczyszczenia od tak, na pstryknięcie palców. Nam z pstrykania, nawet przy nagięciu wiary do granic możliwości, nic nie wychodziło.

Na stole leżała kartka. Niedbale, ręką jakby odwykłą od pióra, napisane były słowa, takie, jakby to powiedzieć? Rozdygotane? Po prostu rozdygotane słowa. Co piątek na statku znajdował się pewien mężczyzna około 30, może 35 lat. Kelnerki mówiły o nim poeta. Przez jakiś czas nie wiedziałem dlaczego, dopiero po paru tygodniach zrozumiałem, że podczytywały to co on pływając po Renie pisze. Nie podglądały, nie podkradały, on po prostu tego co pisał nie zabierał z sobą. Przed wyjściem gniótł papier, zostawiał na talerzu obok resztek mocno aromatycznego sera pleśniowego For d'Amber i okruchów jęczmiennego chleba. Któregoś dnia zauważyłem jak fotografuje to co pisze i w tej już jakby odrealnionej postaci zabiera z sobą, lub wysyła natychmiast. Jak to zwykle bywa nie podchwyciłem moralnego oburzenia szefowej kiedy przyłapała kelnerki na rozpamiętywaniu zawartości kartki, ale jak większość ludzi mojego pokolenia podłączyłem się do śledzenia spektaklu czekając na kolejne odsłony duszy nieznanego. Czasem niczego nie pisał. Czytał kilkakrotnie przyniesione notatki. Lekturę przerywał spoglądaniem w notowania giełdowe, czasem dzwonił tłumacząc coś z rozwagą i stanowczością. Długo patrzył za

okno, na ten fragment krajobrazu gdzie rzeka opiera się o brzeg.

Bonn, któryś tam dzień tego samego roku

Po dziewiątej rano miałem zamiar wziąć się do pracy. Wszystko załączone, przygotowane. Do jedenastej płakałem. Patrzyłem przez okno i płakałem. I myślałem o jej poczuciu obowiązku, o tym samym gdzie ja każdą czynność postrzegałem przez miłość. Bywa, że pracę uciążliwą, tak jak i miłość – ta prawdziwa – niewdzięczną, bo i nie o wdzięczność jakkolwiek tu chodzi. Myślałem o tym jak łatwo, do znudzenia można powtarzać słowa „kocham cię”, jakby były czymś równie istotnym co brud za paznokciami i równie zbędnym. Zdewaluowane uczucie tak łatwo wspiera się na wielkich słowach. I myślałem o ufności. To ciągle wraca i pewny nie jestem czy za kolejnym gestem owo „znów ci ufam” prysnie, i stanie się tą samą jak przez lata poprzednie jej walką z samą sobą by wierzyć, że wierzy i ufać w to, że ufa. Patrzyłem w okno i czułem się cieniem połyskiwania gwiazdy na niebie, szeptem niewypowiedzianej obietnicy, srebrną ozdobą na spince do włosów. Dryfowałem jak koło ratunkowe z czymś ego na ramionach. Patrzyłem w okno poprzez tzy i tak trudno było mi uwierzyć, że tak naprawdę wciąż nic nie widzę. Mój domek murowany stał się z szeptów utkany.

Tęsknię za rozmową z Tobą. Trochę rozbarwiło i wciąż zastanawia określenie naszego rozmawiania jako „naturalne”. Nasz Towarzysz Rozsądek powiedział to tak bezpośrednio i szczerze. Patrzyłem w okno i myślałem o tym

co mówiłaś, wtedy, kiedyś, o tym co Ewa powiedziała latem. Nie mając sił na to by mówić znów czułem, że tego mi brakuje. I pomyślałem o ucisku w piersiach kiedy do mnie podchodzi, o bezradności co odpowiedzieć kiedy zadaje najbanalniejsze pytanie i o obłądnym wyrzucie, oskarżeniu,, że krzywdzę ją celowo. Patrzyłem w okno a zobaczyłem siebie, jak bardzo słaby jestem i jak łatwo można było zburzyć pewność tego co mi oczywiste. Pewność tego co ważne. Kiedy postrzega się siebie poprzez światło siły i pewności, ciemność jest nie tyle przykrą co uwłaczającą godności. I złapałem się na myśli, że pewnie powinnas, masz prawo odpocząć ode mnie. To pewnie etap brania winy na siebie i kołaczące się myśli żeby tylko czegoś jeszcze nie spieprzyć. I łapię się ma myśli, że okradam twoich z bliskości Ciebie. Twoje ciepło ogrzewa mnie. Ten statek przepływa tak blisko. Patrzyłem w okno i tego nie potrafiłem zrozumieć. Wchłaniam tę bliskość jak powietrze i niemal równie bezwiednie zatracam. Za oknem, dziwne, też jakoś ciepło, jak na tę porę roku aż nazbyt. W duszy chłód i skurcz jakby ktoś płuca odessał. Może sam pastwię się nad sobą? Może to wszystko nie warte tylu emocji, tylu słów? I cieszę się Twoją obecnością. I chwilami się jej lękam. Chociaż wszystko co czuję, wszystko co kiedyś nazywałem miłością jest dzisiaj irytacją i smutkiem.

Teraz znów patrzę za okno. Jest już noc. Przed chwilą przyszła przytulić się przed snem mówiąc „ inaczej nie zasnę”. Chwilę porozmawiała ze mną. Utuliła się. Życie bywa tak wyniszczające.

Ja zaraz wysłę ten list. Spojrzę w marzeniu w przestwór nocy, czy śpisz, czy może jeszcze za parę minut przeczytasz

to co do Ciebie napisałem. Chociaż nie, jutro, wysłę jak poprzednio ze statku, bo... bo rzeka płynie i jest blisko. Jeśli już śpisz to śpij dobrze, jeśli to czytasz a jest noc, to kończ bo już pewnie późno, jak zwykle. Dobranoc

ja

Kiedyś matka powiedziała, że nie powinno się czytać listów nie adresowanych do nas. Mówiła to jednak tak dawno, że może to nie prawda? To było jak poezja. Wysyłanie przez niego listów było na mój rozum czymś całkowicie szalonym. Wyglądało na to, że nasz ulubiony autor uważał, że tylko ręcznie napisany list oddaje duszę czytającemu, a jako że chciał najwyraźniej by list docierał do adresata jak każda inna przesyłana elektronicznie wiadomość – praktycznie natychmiast – to fotografował zapisaną kartkę i wysyłał ją jako zdjęcie. Nie wiem czy osoba do której pisał czytała z ekranu, czy też upajała się wydrukowaną wersją listu? To chyba nie tak ważne. Odbiegam od tematu i wiem: mama jakby to zobaczyła stwierdziłaby, że lata wychowania poszły na marne, a moja ciekawość jest równie podła jak zbrodnie wojenne. No niby tak. Ale w sumie co z tego? Wycinanie lasów tropikalnych też nie jest najbardziej chwalebnyim zajęciem a nie jeden co zamożniejszy mieszkaniec Bonn miał parkiet z orzecha brazylijskiego i to też, jak sądzę, bez jakiegokolwiek nuty współodpowiedzialności za zmiany klimatu. Zresztą to wczytywanie się w listy było o tyle niemoralne o ile za takie może uchodzić grzebanie w śmieciach.

Dziewczyna u której mieszkałem otaczała się dość ciekawym towarzystwem. Czasem sam nie wiedziałem kto z nich jest prawdziwy, a kto stanowi jedynie wymaginowaną projekcją samego siebie. Jedna z jej koleżanek w oczach miała wypisaną tęsknotę za tym by ktoś powiedział „good day my angel?”. Przeszła nie tak dawno operację plastyczną, na co oficjalnie nikt nie zwracał uwagi, gdy jednak była nieobecna, traciła bezpowrotnie nadane jej przez rodziców imię na rzecz określenia „gumowy nos”. Druga ze znajomych już od drzwi rozpoczynała opowieść o tym jaki to miała dobry seks ze swym nowym facetem. Nigdy nie byłem pewien czy bardziej podnieca ją wigor znacznie od niej młodszego, skądinąd ledwie wstępującego w dorosłość chłopca, czy jego hodowla koni, czy być może najnowszy model BMW jakim po nią przyjeżdżał? Trzecia lubiła zadrećcać resztę towarzystwa opowieściami o napiwkach jakie zostawiali nafcjarze z Saudiarabii po posiłkach w hotelu gdzie pracowała jako kelnerka, a których wysokość oscylowała w granicach równowartości zwykłej dniówki, co większość zebranych w głębi serca doprowadzało do szewskiej pasji. Najciekawszym dla mnie zjawiskiem nie były jednak kobiety, a podążający z nimi trasą nocnych lokali homoseksualista. Właściwie to nawet nie on sam, choć miły, o przyjemnych liniach ramion, miękkości wystawiania się. Ciekawe było to z jaką estymą traktowały go dziewczyny. Mówiły o nim „słodki”, „On nas tak świetnie rozumie”. Ale ja nie bardzo wiedziałem o co chodzi. Patrzyłem tylko na płynność jego ruchów, eliptyczne gesty dłoni, półuśmiech przyklejony do każdego

słowa, lekką pulchność palców. Ja mu się nie podobałem, nigdy ze mną nie rozmawiał. Może go onieśmiałem? Zabawne, ten facet naprawdę nie obnosił się nawet z kroplą testosteronu, a każda kobieta zjadła by go jak sushi. Chociaż nie, nie miał nic z surowej ryby, to tylko ta krągłość i miękkość głonu.

Facet w czwartym rzędzie po zachodniej stronie pokładu zaciągnął się papierosem, powiódł wzrokiem wzdłuż na wpół pustej sali. Znowu, tak jak przed paroma dniami coś pisał. Obok białe reńskie wino, trzy gatunki pleśniowego sera, zielone oliwki, trzy może cztery słone paluszki. Ucieszyłem się na jego widok. Poczułem nawet coś w rodzaju chłodnego dreszczu na plecach przenikającego od prawego mięśnia szyi po przedramieniu do łędwii. Znow będą jak szpieg nasłuchujący rozmów z satelity, jak wścibska sąsiadka pod drzwiami, jak agent MI6, jak miła pani na portierni z rozbawieniem tłumacząca dlaczego małżeństwo spod dziewiątki sprzecza się co wieczór. I nikt mnie nie powstrzyma, bo jestem tu od brudnej roboty: mop, ściera, uśmiechnięta ubikacja i błyski wypolerowanej armatury łazienkowej.

Właściciele statku byli nad wyraz sympatyczni. Przez pierwsze tygodnie nie mogłem ich kompletnie zrozumieć. Lokalny dialekt był rodzajem bełkotu jaki znałem uprzednio z opowieści o ograch. Później uszy zaczynają wyłapywać charakterystyczną melodykę, język staje się muzyką. Od szefów nie usłyszałem jednego złego słowa. W ogóle to miałem wrażenie, że dla nich Poland, Holland to wszystko

jedno byle człowiek był uczciwy. Kiedyś dali na koniec miesiąca parę drobnych za dużo. Nie wiem czy wypróbowywali moją uczciwość, niemniej jak wspomniałem o pomyłce tylko się uśmiechnęli i kazali nie oddawać.

Bonn, tak jak zwykle, dzisiaj

Posortuj moje listy, wedle dat, według miejsc, wedle wzruszeń. Jestem na skraju rozpaczony. Znowu płynę statkiem. Czuję się metaforą samego siebie.... tak zwyczajnie pośrodku Renu. Chcę do Ciebie, patrzę w wodę, patrzę na brzeg. Idiota. Chcę zobaczyć, prawie widzę, niemal wiem, że jesteś tuż obok. Pada deszcz, zaraz rozcińczy zupełnie tak światło jak statek i mnie. Może to i lepiej. Zmienia nas czas i tży. Dlatego już nawet nie tęsknię za tym co było. Jak tęsknić za czymś co nie wydarzyło się naprawdę? Wiem. Mogę zadzwonić. Do niej też. Nie potrafię tego zrobić. Sam nie wiem dlaczego? Zbyt dużo myśli, zbyt dużo złości? Było i tak, wtedy bywało najpiękniej, że jeśli dzwoniłem, to po to by powiedzieć „kocham cię”. Nawet w gąszczu różnych spraw to było najważniejsze. Przeminięło. Uczę się żyć na nowo. Znowu czytałem De Profundis Clamavi. Wiem, nie powinienem. Nie mogłem się powstrzymać. Ciagle czekam na odpowiedź, na coś co wyrwie mnie z tego stanu. Pomiedzy dniem i snem, pomiedzy każdym zwątpieniem już prawie wiem, znowu jestem sobą. Widzę jak się uśmiechasz... „Jesteś? Pięć centymetrów nad ziemią?” – słyszę jak to mówisz. Jestem pewien. To na nic. Może jednak zadzwonię?

Przestałem czytać. Też tęskniłem. Moja kobieta była daleko. Lubiłem myśleć „moja kobieta”. Kiedyś ktoś mnie tego nauczył. Ale co ja wiedziałem o tęsknocie? Jednego byłem pewien: czegoś z listu nie rozumiem, wtedy świat wciąż wydawał się prosty, czarno-biały, takie listy dla mnie nie mogły być prawdziwe. Może tylko facet dzisiaj wypił trochę za dużo? Wino znad Moseli jest lekkie, w smaku widzi się płynące pełnią słońca wzgórze, falującą trawę i szczyptę wyschniętej polnej drogi – innymi słowy chcę powiedzieć, że też je lubię. Wracając do ostatniego listu, to w przeszłości denerwowały mnie takie teksty. Miałem kiedyś w pracy znajomego, który uwielbiał zadrećcać ludzi pytaniami co myślą na temat jego dziewczyny. Pokazywał wtedy jej zdjęcie, dość byle jakie, samą twarz – co dla większości spośród tych którym pokazywał nie wystarczało. Nawet nie reagowali, dopytując dla zgrywy na odczepnego o rozmiar stanika i to jak gotuje. Ten tu też się dziś mazgai, jakby nie wiedział jak się wziąć za siebie. Każdemu wydaje się że jest taki ważny, taki mądry, świat powinien kłaść mu się u stóp. A to jedna wielka bzdura, jak jakaś baba zagra mu na nosie to zagrzebuje się we własnych odchodach i nie wie nawet jak się nazywa. A ten tu pisze jeszcze jak wiersz, ten niby list nie wiadomo po co? Pierwszy raz zwątpiłem w prawdziwość tych listów. Ciekawe czy faktycznie to wysyła? Czy tylko odstawia jakieś przedstawienie? - Może dla nas? - uśmiechnąłem się do własnych myśli. - To by było pyszne! Przez chwilę o jakąś niepojętą dywersję podejrzewałem kelnerkę. - Czemu to właśnie ja ostatnio znajduję te listy?

Popatrzyłem na nią, na tę metodyczną konsekwencję w działaniu, doprowadzone do perfekcji ruchy automatu, tchnącą uczuciowością powierzchowność, zamiłowanie do porządku i dyskrecji. Do kosza w kuchni jeden z listów mogła tak samo wyrzucić jak podrzucić. I te jej półuśmiechy, urywane spojrzenia. Sam nie wiem. Po paru dniach czytaliśmy razem. Obie kelnerki z wypiekami na twarzy. Koncepcja dywersji upadła.

Zmierzch na Renie jest taki obezwładniający. Rzeka staje się purpurowoszara. Uwielbiam ten widok. Deszcz nie ustaje i pada, pada, pada... Jak moje łzy których już nie mam. Krople spływające po szybach. Patrząc na nie wiem co, płynąc naokoło świata. Tam i z powrotem. Nigdzie.

Napisz.

Tak proszę.

To było jak tandetny serial w porannym paśmie telewizji, jak wenezuelska reklama agencji matrymonialnej i produkcje amatorskiego kółka poetyckiego razem wzięte. Mieliśmy na statku niezły ubaw.

Nie śmieję się. Ja tylko stukam cicho w ścianę, tak przez chwilę, by sprawdzić, czy nie pęka.

Właściciele statku jeździli dwoma błyszczącymi samochodami. Jeden był krajowym samochodem dla ludu, drugi, jego amerykańskim odpowiednikiem. Ten drugi

oczywiście był szefa, bo w mniejszym ciężko byłoby mu się zmieścić.

Posiadanie to taki specyficzny stan który czasem ma nawet coś wspólnego ze szczęściem, choć faktycznie to zwykle odosobnione przypadki. Zastanawiałem się czy mój szef jest choć zadowolony. Statek na którego kupno musiałbym pracować około dwustu pięćdziesięciu lat, samochód z ogromnym ośmiocylindrowym silnikiem, życie ułożone, dostatnie i spokojne, a mimo to szczerze mówiąc nie wydawał się o gram szczęśliwszy ode mnie. Może o tyle tylko, że wszystko to za czym mógłby zatęsknić miał w przeciwieństwie do mnie codziennie pod ręką.

Hipnotyczne listy nieznajomego wciąż mnie intrygowały. Wkrótce przywiązałem się do częstej obecności ich autora, stawał się częścią statku na tyle oczywistą, by koniecznością stało się nadać mu imię, bezsprzecznie pieczętujące moje do niego przywiązanie. Co parę dni posilałem się nowymi, wypowiedzianymi jakby nie wiadomo po co zdaniem. Człowiek w czwartym rzędzie po zachodniej stronie rzeki był mi wkrótce tak samo oczywisty jak chłopak mojego *dobrego ducha*, najpiękniejszej dziewczyny mojego dzieciństwa, u której teraz miałem szczęście mieszkać.

Wracając wieczorem do mieszkania mogłem być niemal pewien dialogu:

- „Kocham cię, kocham cię, ... kochasz mnie?”
- „eee, daj spokój!, gdzie z tymi łapami! No kocham cię, kocham, (...) weź już przestań!”

Młody Irańczyk kochał ją tak jak umiał. Kupował co chciała – jeśli tylko coś dorobił w pobliskiej knajpie jako kelner, woził jak królowną rozlatującym się dieslem, na wakacje zabierał wielką, zbiorczą paczkę prezerwatyw z których mógł dmuchać balony, ona bowiem – wiedzącej jak do niego mówić czule – zazwyczaj, gdy on „chciał”, wykręcała się a to bólem głowy, a to kiepskim obiadem, a to z powodu jego rzekomej głupoty której akurat w tej chwili znieść nie potrafi, albo z racji niskiego ciśnienia czy za wysokiego. Pociągali ją inni mężczyźni, jednak póki była z nim nie zrobiła niczego czego mogłaby dziś żałować, a za lat czterdzieści wspominać z rozrzewnieniem. Nie potrafiła tego powiedzieć, zbyt wiele miała mu do zawdzięczenia. On zapatrzony w jej jasne włosy, błękitne oczy, czyste pragnienie życia był jej wdziękiem tak odurzony, że aż ślepy. Zbyt ślepy jak miało się okazać, wierzący w nią jak w niezbywalną własność. Nawet kiedy teraz o tym myślę, jakoś mu się nie dziwię. Taka niezachwiana wiara w określony porządek świata jest zniewalająco atrakcyjna.

Rozmawiali tak z sobą codziennie: „kocham Cię!”, „a idź ty!”, „Nooo”, „aaa... marudzisz, chodź pojedziemy gdzieś?”. Dłuższe rozmowy dotyczyły najbliższych, to znaczy tych co pojawiali się najczęściej, przemykających od czasu do czasu po mieszkaniu; znajomych sprawiających tylko wrażenie przyjaźnie nastawionych. Rzadziej rozmowy dotyczyły pracy. Zapamiętałem jedną rozmowę o filmie. Wpadłem do domu już w trakcie dyskusji, czy raczej dość pogmatwanego monologu: „to było super, te zdjęcia! A jak on umarł. Pamiętasz jak spadał? A te jego oczy. Lubię jak

coś takiego się dzieje... na filmie (...)"'. Potrafił mówić tak bardzo długo.

- Pocałuj mnie!, no pocałuj! - mówił to tak namolnie, tak mętnie, tak natrętnie i tak namiętnie jak prosi się o podrapanie za łopatką albo podanie pilota do telewizora.
- No dobra – wreszcie całowała a on rozplątywał się jak typowy bauer dumny z posiadanej trzody. Banalność dobijała tą miłość, oczywistość nie stawiała wymagań, a wszelka przyjemność stawiała się nieuchronnie znużeniem.
- Mmm – mrucał. - ale ty jesteś dla mnie dobra!
- Nie dobra a smaczna, zjadłam ciastko ty głupku i dlatego ci tak smakuje! - dodała już trochę poirytowana. On tylko mlasnął, zmrużył oczy spoglądając w stronę rozświetlonego przedpokoju.
- No fanie! – wtrąciłem nawiązując do poprzedniej kwestii – czasem wystarczy dobrze smakować żeby być dobrym!
- Faktycznie – odpowiedział i jakby nie słysząc co powiedziałem dodał: – a jak on zemścił się za śmierć swojego ojca, to było świetne. Pójdziemy na ten film jeszcze raz?

Traktowali mnie z rodzicielską pobłażliwością i delikatnie odczuwanym politowaniem. Zwykle starałem się nie wtrącać moich drwin do ich przekomarzań. Wcześniej czy później złośliwość rozbijała się na mojej głowie. Ładowała na mnie poduszka, gazeta, to co było pod ręką. Było z tego sporo śmiechu a jednocześnie bólu przygnębienia w jakiej trywialności rozcieńczała się ich miłość. Bywali radośni, jak kwiaty orzeźwione wiosennym deszczem, ćwierkaniem i roztopieni słodzeniem sobie wzajem, poniekąd jednak

bezlitośni w beztrosce, jakby nucili „Let’s go to Kill the Love” i w objęciach zasypiali bez pragnienia i bez potrzeby.

Następnego dnia znalazłem kolejny list. Wymięty leżał pomiędzy stołem a wylotem klimatyzacji. Jakoś się tak złożyło, że facet z czwartego stolika był na tym samym filmie co moi współlokatorzy. Faktycznie jednak zobaczył coś chyba zupełnie innego. Pisał: *Tak naprawdę ten film jest o niczym, to znaczy myślę, mam nadzieję, że o niczym. Kiedy patrzę na ten film oczami człowieka który ma jakieś pojęcie o obrazie, to widzę pseudoartystyczne, typowe, wyeksploatowane myślenie kadrem, pretensjonalne cytowanie malarstwa, choćby ta śmierć z opłakiwania zmarłego Chrystusa z 1490 roku Andrea Mantegny. Dalej wspomniał o fabule jako historii ni to opowiedzianej ni to jak u jakiegoś gaduły wyklepanej, jednoznacznie wskazując na to jak reżyser sam wiele zmyślić nie potrafił. Dramatyczne zakręty losu porywające głównie chłopaka mojej współlokatorki spostrzegał jako swego rodzaju przemowę o szukaniu tożsamości, postrzeganiu siebie, powinności, o miłości rodzicielskiej i synowskiej, w zemście upatrując upadku a nie tryumfu. Ogólnie skwitował błąd wyjścia do kina zwrotem: *taka tam błazenada i nic więcej*. Ten fragment listu nie brzmiał jak list, po raz pierwszy nasz poeta nie napisał o sobie i o tym jak mu źle. To była całkiem miła odmiana. *Film faktycznie jest tylko powiastką o życiu, bo życie, to codzienne, i piękniejsze bywa i straszniejsze. Śmierć, to myślę sobie, tak bliska jest, że nie trzeba się o nią otrzeć by dojrzeć. Reżyser w jakimś wywiadzie powiedział: Chcę aby ten film był o niczym, by porywał banałem, uwodził smakiem kadru, nasyceniem barw**

antyhollywoodzkiej estetyki i naturą błony 35mm, by autor muzyki zasłuchał się w mniej zgrane frazy, by widz pozwolił się wieść za rękę ulicami miasta, poprzez rozgoryczenie głównego bohatera i niepewność jego ojca zaakceptował strach nigdy dotąd nie ujawniony. Tak by stanąć na krawędzi i nie mówić już niczego więcej, bo to co widzimy starcza za wszelki sens. Prawda obrazu – ciągnął reżyser – zwycięża i broni się sama. Filmu nie widziałem. Coś jednak reżyserowi nie wyszło. Jestem tego pewien w stu procentach. Ale przy okazji dowiedziałem się czegoś o pracy naszego poety.

Mieszkanie znajdowało się w pobliżu szpitala świętego Jana i mieściło się w zabudowaniach złożonych z modernistycznych kombinacji płaszczyzn i kątów prostych. Nic wyszukanego, ale jak na zaplecze socjalne zakładu pracy imponujące. Wchodząc do budynku miało się uczucie porządku wnętrza trzygwiazdkowego hotelu, co stało w wyraźnej sprzeczności wobec mojego wyobrażenia o hotelach robotniczych z epoki komunizmu na wschodzie Europy jakie pamiętałem z okresu dojrzewania. Zanim człowiek dobrnął do mieszkania na czwartym piętrze, trzeba było ominąć kilka osobowości z miejscowej oranżerii. Na parterze mijało się przyklejoną do wizjera staruszkę w zielonej sukience. Ukryta po wewnętrznej stronie drzwi bezwiednie stukała trzymanym w lewej dłoni sztucznym słonecznikiem, chrząkała i głośno obcierała nos. Być może było w tym podpatrywaniu współlokatorów coś odrażającego niemniej od czasu udaremnienia włamania dzięki jej czujności większość przechodzących mówiło w

stronę zamkniętych drzwi „dzień dobry”. Wychodząc na pierwsze piętro z lewej strony mijało się mieszkanie małżeństwa w średnim wieku. Para miała dwójkę dzieci i humanistyczne zacięcie zmuszające ich do uganiania się po całym kraju za intelektualnymi osobistościami. Dzieci praktycznie mieszkały z opiekunką i jak twierdzili rodzice: *nasze dzieci najszcześliwsze są z możliwości nauki gry na fagocie i corocznych wakacji w kampusie Sorbony*. Na drugim piętrze pomieszkiwał robotnik z fabryki podpasek, charakterystyczny z powodu nieodzownej firmowej koszuli z nazwą firmy i sztandarowym produktem przedsiębiorstwa. Generalnie cały budynek roił się od szpitalnych pracowników niższego szczebla, czyli: salowe, kucharki, sprzątaczkę, pielęgniarki. Ogólnie cicho i spokojnie. Trzecie piętro słynęło z pary studentów których eksperymenty seksualne parę razy kończyły się wezwaniem policji. Rodzaj hałasów przypominał sadystyczne, metodycznie przeprowadzone morderstwo albo znęcanie się. Policjanci wybuchali śmiechem ilekroć po kilkuminutowym dobijaniu się do drzwi spoceni młodzi zapewniali że już teraz będą cicho. Ogólnie to w budynku zwykle było aż przesadnie cicho, przechodząc korytarzem odnosiło się wrażenie, że nikt tu prócz nas nie bywa. Większość mieszkańców zaraz po wejściu można było oczywiście zignorować wyjeżdżając windą. Jeśli bym tak jednak robił to o czym bym teraz pisał? Wszystkich tych przeuroczych ludzi z budynku trzeba było wyłuskiwać. Czasem lepiej iść powoli niż szybko unosić się w stronę nieba. W każdym razie mój brak zaufania do liny utrzymującej klatkę windy nie ma tu nic do rzeczy, a dopóki

słonecznik stukał w drzwi na parterze można było być pewnym, iż życie w tym domu nie umarło.

Bonn, połowa lipca, środa.

Czasem budzę się w nocy a Ty spisz obok. Przytulam, dotykam – to na pewno Ty. Zасыpiam. Rano już Cię nie ma. Lubię ten sen. Bardzo. Ukołysz mnie. Ukołysz! A jak ocean bezbrzeżny popłynę, tak brakuje mi Ciebie. Powiedziałaś mi: „jesteś czasem gorzki jak piotun i uzależniasz jak heroina”. Kochałem to porównanie. Nie widziałem w nim tego smutku o którym próbowалаś mi powiedzieć. Nie mogę Ci tego wykrzyknąć prosto w twarz, nie mogę wyszeptać, wyrzeźbić... Kiedy próbuję, ty przestajesz istnieć – milczysz. Napisz, zadzwoń. Wiem wiem, też się boję, a lęk starcza za wszystkie uczucia, nawet za brak przyzwoitości – zabawne słowo w moich ustach. Napisz, proszę. Lub przyjdź tu zaraz. Zatańczysz? Jak ten Ostatni walc, ten usłyszany w kinowym półmroku, tak jak Ty – uwodzi mnie i jest mi z tym dobrze. Powiedz „choć do mnie”, „tak dobrze że jesteś” – takich banałów brak mi najbardziej. Nie mogę mówić, siedzę oniemiały, patrzę na rzekę, na ludzi krzątających się koło mnie. Tak obcy, są mi dziś bliżsi niż Ty. Jadę jutro do Bremen. I już nie będę pisał. Obiecuję.

Jakoś w tę obietnicę nie wierzyłem. Kilka dni chodziłem z tym listem w kieszeni. Bremen jest na wybrzeżu. Nigdy tam nie byłem, nie wybierałem się, miałem swoje sprawy, swoich przyjaciół, własne tęsknoty szepczące

do mnie ze słuchawki wiszącej kilkadziesiąt metrów od mostu Kennedy'ego. Zgniotłem list. Czemu nigdy tak nie pisałem? Listów gdzie jest się na początku i na końcu wciąż sobą. Telefon na nabrzeżu sączył błogą melodię. Targałem list słuchając prostych, słów o tym jak dni mijają bez sensu, że pogoda marna, praca nieciekawa, pieniędzy niewiele, że nie wiadomo kiedy się spotkamy, że kocham cię, kochasz mnie. Tarmałem list, gniotłem poszczególne słowa, litery, fragmenty nic nie znaczących linii, myślałem o sobie i tylko o sobie, przestała istnieć budka telefoniczna, przybrzeżna aleja, Ren, to co wczoraj, dziś, w głowie kołatało się bezkształtne jutro. Pewnie to ten list i rozmowa nie zbliżająca nas do siebie, jak kołatanie w skroniach, a przecież nie wydarzyło się nic, co sprzeniewierzyłoby naszą miłość. Po co człowiek chce być dla kogoś ważny? W czymś życiu tak bardzo istotny by ten ktoś nie chciał bez niego żyć, oddychać, płakać i śmiać się? Dlaczego o tym wszystkim wtedy pomyślałem? Nie wiem. Odpowiedzi nie znam, tak jak i wtedy. Może odpowiedzią na miłość jest tylko próżność, lęk przed upływającym czasem, instynkt reprodukcji i pogarda w obronie siebie wobec miłości wzgardzonej. Może uwznioślenie graniczące z obłądkiem. A może tylko oczywistość jak śmierć, oczywista bo wszystkich dotykająca. Wszystkich? A może tylko paru szczęściarzy? A może jak chcą niektórzy, miłość dotyka tylko głupców, bo tylko Ci nie odróżniają oddania od konsumpcji, wolności od zniewolenia? Myślę jak zabić uczucie intelektualnymi bredniami. Ciekawe jak często i jak skutecznie ratując się przed świadomością tej prawdziwej miłości ludzie starają się by ich ominęła? Czasem wydaje mi się, że wszyscy chcą by

dopadła ich bezwiednie, zwyczajnie, tak jak można wyjść na spacer brzegiem rzeki. I pewny jestem, że samym takim pragnieniem ją ukatrupiają. Dokładnie tak jak ci „moi”, z którymi mieszkałem. Właśnie oni. Jakoś wcześniej nie mówiłem Ci o nich zbyt wiele, o tym jak przestali być z sobą. W sumie o czym tu pisać? Tak bywa i już.

Nic nie pozostaje na wieczność. Można powtarzać pobożne życzenia a i tak świat przemija, serdeczny uśmiech staje się krzywym grymasem na zmęczonej twarzy. Po wszystkim można rozpląnąć się w powietrzu albo rozsądniej, tak jak Mały Książę, na swojej małej planecie zrozumieć wszystko od początku i przeżyć.

- Nie!!! Nie jestem w ciąży! – głośno protestowała. – i nie byłam – dodała ciszej.
- Akurat! Znowu kłamiesz, wiem, zawsze tak samo, wiem kiedy kłamiesz, odwracasz się i niby czytasz tę swoją babską gazetę.
- Głupi jesteś! Odwal się!
- Wiesz... to jest tak. Nie od razu małeństwo ma duszę. To jest tak, że dopiero po paru dniach jak już jest taki malutki to ono dostaje duszę i jest człowiekiem.
- Co ty pieprzysz? O co ci chodzi? – w jej oczach rozpląnęło się zdenerwowanie ustępując bezbrzeżnemu zdumieniu.
- He, he! – jej kolega się zaśmiał. – zasunął szufladę, W końcu i tak niczego nie rozumiał z łacińskich nazw na opakowaniu. Popatrzył na nią jak na głupią owieczkę i dodał – choć pocałuj mnie.

Było dla niej coś pociesznego w tym tłumaczeniu o duszy. Prawie jak opowieści o bocianach, aniołkach i

kapuście. Dyskusji tego rodzaju było wiele, wiele też grania na czas, oczekiwania, że to on, a to znów że ona zmądrzeją. Potrafili posprzeczać się nawet o kolor pomidorów czy kiepską pogodę. Wspólne zakupy, jakaś dyskoteka, jednoświadczenia o tym jakie to życie jest ciężkie, a pieniędzy nie wystarczyło do przetrwania miłości, która coraz częściej przypominała dekret o stanie łaski, litość bez terminu ważności postanowienia. Konflikt narastał, wspólne wakacje nic im nie dały. Co najdziwniejsze powodów konfliktu nie przybywało – zasadniczo wszystko co ich łączyło stawało się problemem, nawet powietrze którym oddychali. Kilka tygodni po moim wyjeździe często można było być świadkiem żalonych scen pod wejściem do mieszkania; jęków, wrzasków, ale i krępującej ciszy jaka otaczała skomlące pod drzwiami człowieka

- Coś Ty dziewczyno narobiła! Gadaj!

Romeo leżał pod drzwiami i płakał. Nie rozumiał do czego doszło, ani tego kiedy i dlaczego właśnie on a nie ktokolwiek z ich znajomych musi przeżywać to co on w tej chwili.

- Wpuść mnie, błagam, kocham cię, nie rób mi tego.

Wyraźnie poszarzał, jego blond american dream przysł, zostawał sam, bezpowrotnie, pewny braku zgody na zaistniały stan przestawał być sobą, a być może pokazał po raz pierwszy swą prawdziwą twarz. Chyba kochał ją naprawdę. Ona przez kilka dni wychodziła do pracy przechodząc nad nim kiedy spał na wycieraczce. Najszczęśliwsza była nie widząc go jak się czai w pobliżu. Kiedy przez dwie godziny nie próbuje się do niej dodzwonić. Któregoś wieczoru resztę jego rzeczy wyrzuciła

przez okno, przeprowadziła się na kilka dni do koleżanki na przeczekanie krępującej sytuacji. Nie miała wyrzutów. Ból jaki sprawiała rozumiała jako sumę jego win a nawet naturalną konsekwencję jego beznadziejności którą w świetle ostatnich wydarzeń widziała wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej. Anioły odleciały, miasto nie opustoszało. Tętni spalinami, reflektorami samochodów, światłem nocnych latarniami tak samo jak tydzień czy rok temu. Centrum miasta jak psychodeliczna metafora ludzkiego bytu spacerującym pozwala kręcić się wkoło, wracać w ten sam punkt bez względu na to czy uprzednio zdecydowaliśmy się skręcać w prawo czy w lewo. Problemy zaczynają się kiedy jesteśmy daleko poza centrum. Tam, na obrzeżach, skręcając opacznie, wpaść możemy na okoliczne pola albo sąsiednią, obcą miejscowość... prawie obcą planetę.

Miałem w dłoni kartkę. Wczorajszy list już prawie wylądował w koszu jak podeszła do mnie, chwyciła za rękę, pocałowała zanim cokolwiek pomyślałem, nim kartka opadła w koszu, patrząc na opadające słowa szepnęła: „Nice to see you again...”. Obudziłem się nie wiedząc gdzie jestem. Prześniła mi się staruszka pływająca z nami co poniedziałek w górę Mozeli. Zdarzyło się, że chwyciła mnie za rękę i pewnie dlatego tak dobrze ją pamiętałem. Ale żeby od razu całować! Z dreszczem na plecach pobiegłem do pracy. Jak co dzień mijałem dwa banki, kapliczkę z dwoma Rolleiflexami – mój ulubiony sklep fotograficzny,

wzdychając zapach chińskiej restauracji dotarłem pod most na swój statek.

Wierzyłem w miłość. To było tak zwyczajne i działo się po prostu. Ojczyzną była ona, jej oddech, obecność, codzienność pomiędzy wschodem i zachodem słońca. Czasem tak bardzo chcę by było jak dawniej. Nie potrafię sobie wybaczyć sobie ociemnienia, jak bardzo byłem ślepy ciesząc się jej szczęściem i w niej pokładając odniesienie do wszelkich spraw. Tych błahych i wielkich, jak tych słów spisanie, beznadzieję jak słów tych zapomnienie, a jednak ważne.

Wciąż siedzę na tym krześle przeklętym pomiędzy sypialnią, łazienką a kuchnią. Łzami zalany, wpatrzony jak przechodzi królowa moja i wzgardzenie po wieczność. Wstać nie potrafię, choć tak łatwe здаwać się może przekręcenie zamka w drzwiach. Już prawie wpół do drugiej listu jednak nie ma a noc bezsenna banalna oczy zamiast lepić rozwiera czekaniem na koniec złudzenia o poranku.

Znowu nie wiem, jaka data wypada w środę. Czasem łatwiej w piątek. Dawno nie miałem niedzieli i cała rachuba czasu się sypie. Chwilami myślę czy ten list nie jest zbyt obrzydliwy, pełny nie moich słów. Może lepiej już nie pisać? Może lepiej nie wysłać? Jest telefon, pogadamy, potęsknimy. Pogoda znów marna, rzeka pełźnie pomiędzy wzgórzami, wolno, już ją taką widziałem. Głupie wiem, ale zaczynam kochać ten widok, tęsknić za nim jeszcze tu

będąc, myśleć o nim jak o swoim i zazdrościć tym którzy tu mieszkają. Pozdrawiam serdecznie z powierzchni porannej. Uśmiechnij się raz jeszcze. Przysmykam oczy i widzę jak przemierzasz w bieliźnie przedpokój, uśmiechasz się, całujesz. Kocham Cię.

Facet ze statku któregoś dnia zniknął. Przyglądaliśmy się innym statkom czy przypadkiem nie zostaliśmy zdradzeni przez niego na rzecz konkurencji. Stawialiśmy też nawet zakłady czy przypadkiem nie o nim pisali w związku z wyłowieniem zwłok businessmana w rejonie Königswinter. Ostatni list jaki zostawił był dość dobrze podarty, kelnerki jednak mają wiele talentów i udało się do odtworzyć. To był wiersz. Rzadko pisywał wiersze, wydaj mi się nawet, że ich nie wysyłał.

*Śnię o tobie wczoraj odeszłaś
Śnię bo jesteś tym tylko co zechcę
Śnię jak przychodzisz do mnie
Śnię kiedy mijam
i zapach twój pochłaniam
na schodach
już prawie zapomniałem
choć czuję co zostało
i śnię nie wracaj
tak proszę
wspomnienie
piękniejsze jest*

Nie wszystko w życiu dobrze się kończy i nie na wszystko starcza cierpliwości. Facet zniknął a my przywykaliśmy do jego nieobecności. Tak jak Ci napisałem, nieomal uśmierciliśmy gościa domniemaniami na temat jego losu i to w otmętach rzeki po której pływaliliśmy. Takie rozwiązywanie wydawało nam się jak najbardziej logiczne a

nawet, jak to któraś z kelnerek zauważyła, jak najbardziej słuszne, „no bo i po co miałyby żyć taki... no, że taki... nieszczęśliwy?”. Swoją drogą doświadczenie tego co romantyczne już nie pierwszy raz w tym mieście było w smaku cierpkie a nawet gorzkie. Może dlatego jakoś łatwo można się było z zaistniałą sytuacją pogodzić.

Był jednak niedawno taki dzień, że musieliśmy otworzyć wino i powtarzając do znudzenia „nie wierzę” zarykiwać się śmiechem to ocierać łzy. Pomimo kiepskiej pogody było jakoś jasno, twarze kelnerek rozpalone, ja cały w środku rozdygotany, właściciele statku nie bardzo wiedząc czemu to tak przeżywamy powtarzali tylko „on ta, no tak”. Nasz, niedoszły jak się okazało, topielec przysłał nam kartkę z dużym stemplem urzędu pocztowego z Cedar City w Utah. Nawet nie musiał się podpisywać, nie musiało być na odwrocie jego zdjęcia w objęciach skądś znanej – jak stwierdziła szefowa – kobiety. To był ten sam charakter pisma: „Z pozdrowieniami dla mojego ulubionego statku. Szczęśliwy gość z czwartego stolika – ten od sera For d'Amber i jęczmiennego chleba”.

Płótno

- *Idiota! Co on sobie myśli? – po chwili dodał głośno – Za ten obraz mogę kupić dobrej klasy trzyletnie auto!*
- *Niby tak – właściciel galerii z miną doświadczonego kelnera lekko się uśmiechał. – Ale tych trzyletnich samochodów jest tysiące a ten obraz jedyny taki na całym świecie.*

Być może był piękny. Ja nie wiem. Na pewno nie w moim typie, ogólnie mężczyzna tego rodzaju piękny bywa jedynie na plakatach i to też o ile nie widać za bardzo pudru na twarzy. Obrzydliwe! Jak tylko o tym myślę widzę go w tuszu, szminkach z chuderlawym ciałem wyzierającym spod kusego podkoszulka na cieniutkich ramiączkach. Zimny dreszcz przechodzi na widok takiej wizji. Jak to dobrze, że nosił eleganckie koszule! W głębi duszy do końca życia został jednak takim chłopcem z plakatu wetkniętym dla niepoznaki w uniform małomiasteczkowego biznesmena. Teraz wdychał aromat kawy. Wspominał miniony wieczór, wgryzał się w rogalik z francuskiego ciasta rzucając tępe spojrzenia na wchodzących do wnętrza knajpy gości.

Ja jeszcze jechałem. Jakieś trzydzieści może czterdzieści kilometrów przed celem. Jakieś krótkie, przerywane potakiwaniem rozmowy, delikatny stukot kół

wagonu o łączenia szyn i brzmiące jak czkawka, prawie melodyjnie, zdanie:

„– Na co czekasz? Na co do cholery czekasz? – Dalej zostać sobą. Sobą, sobą, sobą...!!! Ty jesteś całym syfem, a syf jest tam gdzie dno, ooo, łołoło...”. Jak to mówią o gustach się nie dyskutuje, jak kto chce zabłyszczyć mówi nawet: *degustibus non discutantur*. Może to i prawda, ale powiedzieć chyba mam prawo, że nigdy nie lubiłem jednocześnie rytmicznej i deklamowanej muzyki. Tego dnia w pociągu trzeba było coś takiego pokochać. Współpasażer katował cały przedział dźwiękiem z założonych słuchawek, a będąc dwa razy większy od kogokolwiek w najbliższej przestrzeni mógł bez przeszkód całemu przedziałowi zaproponować wprowadzenie w trans. Od propozycji do autorytaryzmu tylko krok czasem a pokora, lenistwo czy lęk przed wychyleniem się jest dla urabiania magicznego zmysłu estetyki idealną podstawą. Sytuacja miała zresztą swoje zalety. Trans całkiem za darmo, bez kosztownej dalekiej podróży w niedostępne ostępy dżungli amazońskiej, mając przy sobie gigantycznego szamana, ani to Murzyna ni to Latynosa, jakby oswojonego dzikusa – bo w czarnej skórzanej kurtce ze swojsko brzmiącym napisem „fuck off”, wykaligrafowanego romantyczną krojem pisma stosowanym na opakowaniach czekoladek powszechnie nabywanych w dzień świętego Walentego.

Chcesz zrobić interes to uśmiechaj się, a w głębi duszy nawet jeśli nie chcesz, pluj każdemu w twarz. Szczególnie tym, których nie potrzebujesz. Dość łatwo się tego nauczyć, tak w sensie dosłownym. Pogarda, tak, to

jedna z tych rzeczy, których mi z pewnością brakowało w dotychczasowym życiu. Pogardy wobec siebie, a przede wszystkim wobec drugiego człowieka. Pogarda to bardzo dobre słowo, dobrze brzmi, pozwala iść naprzód, nawet jeśli kręcisz się w koło to wciąż naprzód. Taki rodzaj subtelного pomiatania człowiekiem, awersja tłumacząca nieposzanowanie i jesteś sam tak długo jak o to pytasz, a kiedy pytanie wydaje Ci się dziwne to znak jak bardzo jesteś szczęśliwy. Arogancja, jak elegancka koszula, akcent zdradzający pretensjonalność lub obce pochodzenie, ten najgorszy rodzaj budowy poczucia własnej wartości na tym, że jest ktoś marniejszy ode mnie. Wszystko to tu było, wzbudzało pożądanie i stanowiło definicję istnienia. Mały lokalik, facet regularnie sypiający za ścianą ze swą kochanką, żona wpół ślepa z wyboru na to wszystko, no i my, urobieni w farbie po łokcie tak zwani artyści. Czasem to nawet go lubiliśmy, ponieważ był w samozapatrzeniu beznadziejny, litość wzbudzający, swój chłop prawie. Gdzieś kiedyś tam w głowie mu się pomieszało, tonąc w rojeniach o mężczyźnie za którym się wzdycha a nie ma odwagi bądź możliwości spełnienia. Pragnął mieć forszę, żonę do spraw, nazwijmy to „bytowych”, powszednich tudzież banalnych, oraz kochankę na skołatane nerwy jak plaster do śladu samoskaleczenia przyłożoną. Było w tym wszystkim coś niepokojącego; mogliśmy jeść, mieliśmy gdzie spać, dni mijały szybko, pociągi ze stacji odjeżdżały, całe miasto jak dworzec, a my tylko przejazdem w słodkawym aromacie terpentyny i oleju.

Jeszcze przez chwilę majaczyła mi przed oczami puszka jęczmiennego piwa, rzędy drutu kolczastego i ten

schludny, równy pas asfaltu połyskujący poranną rosą niczym czarne marmury ekskluzywnej łaźni. Wizja przeistoczyła się w już kiedyś widziany budynek stacji kolejowej. Powoli, miarowo pocierając czoło porzuciłem myśl o ponownym zaśnięciu. Zwlokłem się z górnego piętra wagonu, pociąg zatrzymał przesuwający się za oknem krajobraz tak pewnie, że bez przeszkód można było wejść. Dworzec był jednym z najmilszych tu miejsc. Wystarczyło być, pozostać albo ruszyć przed siebie, wyjazdy i powroty, początki i końce, eschatologia dnia codziennego na dwóch szynach, marzenia, brak bólu w plecach, odcisnięta na tyłku ławka, ślad po niej tak bolesny jak wobec zastanej architektury brak dyszącego parowozu. W nawilgłej świtem wczorajszej gazecie jakiś grafoman mądrzył się na temat recesji i możliwych zawirowaniach na giełdzie. „Człowieku! myśl poważnie ale pisz z uśmiechem” – pomyślałem. Ten jednak z tekstu spojrział to na mnie, to rzucił okiem na szyld nazwy miasta. Odrzuciłem gazetę na jej pierwotne miejsce pod ławkę. Fakt, że była tam mówił aż nazbyt wyraźnie o niedzielnym poranku. Inne dni w tym kraju, w tym mieście, nie pozwoliłyby na brak porządku o tak później porze.

Byłem tu już dwa razy, szczerze tęskniłem za gwarem, przestrzenią, konstrukcją bramy wjazdowej, za twarzami nachylającymi się do skośnookiej kioskarki w trakcie święta przywołującego czasy średniowiecza. To jedno z tych miejsc które odwiedzając zastanawiamy się czy nie byłoby dobrze tu zostać a potem je opuszczamy z przekonaniem że tak jest lepiej i żałujemy od czasu do czasu powziętej decyzji. Im bliżej wzgórza tym gęstszy tłum

wtłoczony w uliczki, wciśnięty pomiędzy kramy i reklamy, lekko ponad chłodem sześćsetletniego bruku zapach piezzonego u Turka mięsa. Patrząc wokół jak na marzenia, obok okna z kebabem marzenia mają posmak sernika, lodów i mocnej włoskiej kawy. Obrazy prawdziwe i wyimaginowane nasuwają się same, jakby wisiały na drzewie, na moim nosie, jakbym się potykał o nie a one pragnęły mnie i moich oczu. Przyjemnie było malować to miasto.

Nieprzerwanie brzmiało mi w uszach bachowskie *Jesus meine freunde*. Jakiś Mendelssohn dyrygował mi tu bachowskim koncertem, skończyć jednak musiał. Ostatni takt wygasł, drzwi westchnęły, stałem w progu kafejki na górnym rynku zastanawiając się po co tu jestem i jak to się w ogóle stało, że znów. Tak naprawdę nie miałem ochoty zobaczyć kogokolwiek spośród ludzi do których właśnie przyjechałem. Ci do których przybyłem myśleli podobnie, niepotrzebna konkurencja, ot i tyle.

Praca nie wybiera, to my ją wybieramy. Tę którą właśnie wybrałem patrzyła na mnie przekrwionymi oczami właściciela kawiarni. Zdawały się mówić: „– po coś tu kurwa przyjechał?”. Te wpatrujące się we mnie oczy majaczyły pomiędzy poranną kawą, wspomnieniem damskiej bielizny i przydeptanym skrajem delikatnie przydługich spodni. Ostatnio widzieliśmy się jakiś rok temu, on jednak tylko skinął dłonią, odwrócił głowę rzucając:

– Aaaa? To ty?

– Yhmy. Ja – przytaknałem.

Drugiego dnia było milej. Nominalnie milej bo formalnie były delikatne problemy z grawitacją, przestrzenią, smakiem i kolorem.

- To nie może być zielone! To nie może być zielone! No powiedz, to jest zielone? Jeśli ten dach pozostanie zielony to ja wychodzę. Zabieram się i tyle mnie widzicie. A w ogóle to nie lubię chama!
- Co?
- Nie siedź tak okrakiem bo coś zgubisz!
- Bardzo śmieszne, ale i tak się nie podzielę.
- Daj daj!
- Odwal się! Idź i sam sobie przynieś. Wypiłeś mi prawie wszystko z tamtej butelki to teraz idź sam jak się nie boisz.

Wiedziałem czym grozę. Wcale nie byłem z tego powodu lepszy czy mądrzejszy, jedynie trochę bardziej doświadczony. Kiedy sam wstałem ciężkie uderzenie młota w mojej głowie perswadowało mi pozostanie w łóżku. Zignorowałem, dowlokłem się do łazienki, później do spiżarni. Dwa soki w dłoń, drugie ramię niezbędne do tego by iść, w głowie wahadło a podłoga jak na statek zwyczajna, jak na starą kamienicę zbyt szybko zatracająca układ horyzontalny. Usiadłem na łóżku, grymas Jaśka i coś na kształt uśmiechu zza przekrwionych oczu. Coś kiedyś wróci na swoje miejsce, kolor farby nie jest kwadratem, domem na płótnie ani twarzą człowieka, ani nawet tą odbitą na murze dłonią. Patrzyłem na niego, na to jak chudy, zarośnięty, okrutnie sponiewierany, leżał – czy raczej leżało to coś – patrząc to przed siebie, to w rozłożony na podłodze papier i od czasu błagalnie na resztki napoju w moim szkle.

Była druga po południu kiedy wstał, a właściwie uniósł się na łokciach chciwie wybałuszając ślepią. Pogładził zarost, czuł całym sobą jak dzień zapowiada się niedorzecznie. To był pierwszy prawdziwy artysta jakiego poznałem.

Główne wejście pomimo drzwi wypadających na płytę rynku było prawie niezauważalne. Dopóki nie wyciągnięto stolików przed schody, lekkich białych krzeseł, szklanych popielniczek i cukru w pseudoalabastrowych szkatułkach, przechodziło się obok niczym pod oknami zwykłej kamienicy, takiej typowej z fachwerkiem, wzdłuż tynku poprzecinanego liniami drewnianych belek, co wywoływało, niezależnie od dnia czy pory roku, wrażenie przebywania w świecie baśni braci Grimm. Na szczęście bez upiorów i strzyg, bez nożowników i królewien topiących swych kochanków. Wejście, jak powiedziałem, nie imponowało. Za to, to co zastać można było w środku już bliższe było estetyce konsumpcji jaką wyznawaliśmy my, jak to ktoś powiedział: zasmarowujący blejtramy cuchnącymi farbami. Pierwszy ciekawy obiekt po prawej od wejścia nie robił jeszcze oszałamiającego wrażenia. Pianino jak to pianino, zawsze żal człowiekowi instrumentu którego nikt od lat nie nastrojał. Stawiano na nim jakąś egzotyczną roślinę - sporych rozmiarów orzech – w dużym szkle, bez grama ziemi z odrobiną wody. Z pękniętej skorupy strzelały zielone liście na wysokość około jednego metra. Roślina wydawała się mówić „o cholera, gdzie jest ziemia? Gdzie jest ziemia? Ani krzty gruntu, tylko to, to zimne takie, szkło, tak szkło! I co ja teraz zrobię, co mam zrobić? Wiem, zepnę się w sobie, o! ooo tak! Wystrzelę ramionami, wszyscy padną z

zachwytu, i zostawią mnie na dłużej, przyniosą trochę ziemi, albo w ogrodzie, ooo...ogród, to by było przepiękne!”. Po mniej więcej trzech tygodniach monolog się powtarzał, pobliska kwiaciarnia notowała obrót a przywiędła roślina jechała wraz z innymi odpadkami na pobliskie wysypisko bez słowa pożegnania. W głębi knajpy dominowały jakby rozrzucone stoliki, na ścianach obrazy – szczególnie piękne a do tego nasze! Dalej był bar, za nim kuchnia, wyjście na zaplecze. A właśnie! Tego nie można zbyć prostym stwierdzeniem tu jest bar a teraz idziemy dalej... Bar... Tam było to coś co wypowiadało poezją całą esencję egzystencji: Cragganmore, Four Roses, Glenfiddich, Calvados VX avec Pomme, Teacher's czy skandynawska woda przeczysta, mówiąca jakże wymownie o naszym dążeniu ku nieskończoności, sam czcigodny książę Absolut. Tu wdychaliśmy. Do śniadania ani kolacji tego rodzaju specjałów nam, nie wiedząc czemu, nie podawano. Nie wiem czy wynikało to z dekoracyjnego charakteru ekspozycji czy z tego, że nasze malowidła nie były aż tak cenione? Tak czy inaczej, mniej lub bardziej jawnie wnętrza naszych artystowskich przetyków, nie bacząc na to co, a jedynie o to jak, muskaliśmy powierzchwnie swoich migdałków trunkami rodzaju Rheinhessen Liebfraumilch a w chwilach szczytującej ekstrawagancji D'oc Merlot Vigneaux, a najczęściej po prostu tym co dało się podprowadzić z piwnicy właściciela bez oglądania się na przyklejoną etykietę.

Rano dostawaliśmy po trzy bułki, talerz z pokrojonym serem i szynką, nastrojowy głos Tonyego Bennetta i kawę. Do kolacji Patricia Kass i gorące parówki z

grecką sałatką. Właściciel lokalu mijając nas konsumujących śniadanie rzucał swe „Guten Morgen meine Sorge¹”, najpewniej upewniając siebie, że żywi nas i daje dach nad głową wyłącznie dla idei a nie dla połowy kwoty od każdego sprzedanego obrazu.

– Malowałem całą noc. – Jasiak bełkotał, łyżeczka dzwoniła a cukier znów się rozsypał.

– No wiesz, nie wiem. Zdaje się, że spałeś – próbowałem być poważny.

– Wiesz co? Jedz. Ty i tak nic jak zwykle nie rozumiesz – zrobił długą pauzę nabierając przez usta powietrze. – maluje się głową, jak tego nie pojmiesz to nawet nie próbuj babrać się farbą.

– Mam nadzieję, że obżarstwo to mój najcięższy grzech – wtrąciłem ciesząc się śniadaniem – kawa jest świetna.

– Grzech!?! Grzech to malować tak beznadziejnie jak ty to robisz!

Minę miał poważną, ton nad wyraz klarowny.

– Popatrz na te ściany – ruchem głowy rozkazał spojrzeć na średniej wielkości dwa płótna, marne, schematyczne i niestety moje. – a kawa – dodał – to wenezuelska arabica, idealna do nadawania faktury.

– Że co?

– To teraz jedz – skinął małym palcem lewej dłoni na resztki camemberta. – zaraz musimy iść, nie ma czasu.

– Chryste Panie! Ale pięknie się dzień zaczął!

Jasiak przekrwieniem oczu zmierzył poziom adrenaliny w moim organizmie i widząc, że nic mu nie grozi dorzucił:

¹ Dzień dobry moje zmartwienia.

– Chłopie pij więcej terpentyny to będziesz wrażliwszy – w grymasie pokazał nadpsute zęby – i kończ to żarcie bo wychodzimy z tego fast foodu.

Cuchnął paskudnie. Jeśli człowiek może wyglądać jak kundel wymoczony w szambie, to on tak właśnie wyglądał. Całkiem sympatycznie, ale myć mógłby się częściej. To było czasem odrażające, nie tak jednak straszne jak założenie przez pomyłkę jego skarpet. Buty, nie tak bardzo zużyte musiałem wyrzucić i pewnie dwa lisy, które łaził po śmietniku odkrywając ukrytą bombę biologiczną niechybnie zdechły, a w najlepszym razie utraciły bezpowrotnie zmysł powonienia, za co Greenpeace dobierze mi się wcześniej czy później do skóry.

– Cała prawda jest psim pyskiem po wodzie pisana – Jaśko mamrotał zbliżając się do drzwi – a prawda to ja! Amen, dziękuję, dobrego dnia życzę!

Jeszcze w progu zapalił papierosa i myśląc o tym jak ostentacyjnie wychodzi, zginął w poświęcie lipcowego poranka. Koszulę miał wywaloną wszem i wobec niczym flaga ONZ po zbombardowaniu ambasady na Bliskim Wschodzie, niepodobna do niczego, słowem szmata, wciąż mająca coś ze szlachetności i głębi symboliki dziewiętnastowiecznych proletariuszy. Postać chwilę w słońcu. Jak co dzień marzył o prawdziwej kobiecie, takiej która uprzedzi wszelkie jego marzenia, z tatuażem smutnego anioła na lewym ramieniu, o spojrzeniu nocy i gardzącej nim bezbrzeżnie jak tylko powietrze unoszące się ponad ziemią pełne wzdargi być potrafi, kochającą go wbrew rozsądkowi, wbrew przeświadczeniu o tym że nie warto. Zaciągając się bardziej westchnieniem niż dymem,

patrzył na pobliski kościół Świętego Franciszka. Czy się modlił? No nie wiem. Święty Franciszek do niego? Całkiem możliwe. Jasiak do Boga? Bardzo mało prawdopodobne. A skoro nie, to jakby to Jasiak powiedział: „tym gorzej dla Pana Boga”.

Pozostałym przy stole zostało pozgarniać naczynia, pozbyć się resztek, odetchnąć, przeciągnąć znudzone kości, wytrzeć ręce o nogawki, zniknąć za którymś rogiem mając nadzieję ujrzenia czegoś na nowo i namalowanie tego „coś” dokładnie tak jak klient sobie wyobraża transformację swego miasta w plamy barw.

Miasteczko ogólnie bardzo malownicze. Miejskie pejzaże wyrwane z baśni Andersena mogły zanudzić do obrzydzenia, boleśnie rozczarowywać kiedy bajkowa fasada budynku nie nadawała się do spożycia. Były też miejsca prawdziwie upiorne. Od dobrych sześciuset lat stała nie użytkowana obecnie wieża czarownic. Mimo jej znaczenia historycznego okoliczni mieszkańcy traktowali ją z mieszanymi uczuciami. Duma mieszała się z klimatem tajemnicy, bezgłośnym wyrzutem sumienia. Przed laty przodkowie współczesnych mieszkańców zapędzali tu pod byle pretekstem każdego nie pasującego do schematu obywatela, co u niektórych wywoływało sentymentalną tęsknotę za czasem minionym, światem cudownym i prostym. Wieża obecnie stanowiła przede wszystkim pretekst do zabaw, radosnych przebieżek, do wyrzucenia paru ton obornika na eleganckie chodniki. Stanowiła kulminacyjny punkt tego dość specyficznego sposobu upamiętniania historii przez stragany, bydło na ulicach, zbiorową łaźnię i pseudoturnieje rycerskie. Wieża czarownic

ciekawiała nie tyle poprzez makabrę, jakiej zapewne była światkiem, ale przez zachwyty jaki wzbudzała ukazując perfidię i wyrafinowanie sposobów zadawania bólu. I rzeczywiście wychodząc stamtąd można było być pełnym uznania dla geniuszu i możliwości ludzkiego umysłu.

- I co ty teraz zrobisz z taką kupą pieniędzy? – właściciel kawiarni był autentycznie rozbawiony.
- Jak to co? Worek farb. Kupię cały worek farb. – Jasiak wyszczerzył zęby, zmiażdżył pieniądze, ubił je w kieszeni i wyszedł.

Patrzyłem osłupiały na całe to zdarzenie. Cztery obrazy sprzedane. Pieniądze pół na pół. Mój się jeszcze żaden nie sprzedał. Miałem wiecznie inne plany, inne myśli, brak konsekwencji w dogodzeniu klientom i co tu dużo gadać nie chciało mi się tak bardzo jak takie niechcenie może być obezwładniające najbardziej.

Jasiak sprzedawał się znakomicie. A przy okazji był to istny życiowy niedojda. Jeść, czasem spać, pomarudzić na szarą rzeczywistość. Wobec obecności płótna wstępował w niego demon, wynurzający się niczym dżin z odkręcanej tuby czarnej farby. Prawdziwy artysta, dokładnie taki o jakim się marzy wypowiadając słowo malarz. Depresja, czyli to co każdy tego typu człowiek ma na zawołanie, rozbryzgiwała się spod jego palców na każdym akcie, drzewie o kształcie lamentu, na domach wychodzących w jego obrazach na spacer. Ze smutkiem wyglądał niezmiennie groteskowo, ten sam wyraz twarzy nadawał mu jednak aurę uduchowienia. Biedna umęczona twarz, spowita stęchlizną papierosowego dymu. Spojrzenie, trochę brudu,

mały blik w szybie, splunięcie, odciśnięcie szmaty o niebo i sprzedane. Człowiek kocha swoje nieszczęścia o wiele bardziej niż własne dzieci. Obrazy Jaśka o tym krzyczały, kupujący widzieli w nich sentymentalne podróże z niewiadomo skąd i niewiadomo dokąd. I to wystarczało.

Często śmiał się z moich wynurzeń o sztuce, artystyczny podział świata był dla niego oczywisty. Mówił: „Od wschodu zawsze będzie daleko na zachód, bo jak wiadomo wszystkie ptaki odlatują na południe”, albo: „To słońce to kolejna nieprawda gryząca mnie w ucho. I dobrze, niech gryzie mnie dalej”. Mawiał: Czernidło, kocham to czernidło” a w jego ustach brzmiało to jak „pachnidło, kocham woń twojego ciała”. Wyznanie i śmierć zawarta w każdym geście, tak jakby pędzlem malował tylko ból, ból znany tylko jemu, ból czekający na poklask i pieniądze, tak czysty i szczery, nawet nieświadomych powalający na kolana.

W środę miał odbyć się kameralny koncert jakiegoś amerykańskiego stowarzyszenia śpiewaczego. Nigdy nie pojmowałem tego co ci ludzie robią w samym sercu Niemiec, tego zachwytu architekturą, drobnomieszczańską uprzejmością okazywaną wszystkim przyjezdnym. Parę starych belek w kawiarni na suficie budziło w nich tyle emocji jakby mieli okazję wystąpić przed papieżem, czy w czymś na miarę kaplicy w Aachen. Patrzyliśmy na nich jak na rozkapryszonych milionerów którym wpadło do głowy trochę pośpiewać, oni na nas jak na eksponaty z odległej epoki.

Thomas, ledwie dziesięć lat wcześniej będący polskim Tomkiem, biegał nakręcony ogólnym poruszeniem. W przemowie, jako właściciel knajpy z doskonale stylizowanym uczuciem witał gości nienaganną niemczyzną.

- Patrz jaka żaba! – Jasiak nie miał litości.
Żaba kurczyła grzbiet, wybałuszała ślepią, chrząkała, wreszcie skończyła sakramentalnym:
- Herzliche Willkommen!
- Dobrze to piwo.
- I to gratis! – uśmiech mieliśmy dookoła głowy.
Patrzyłem na ulicę w niemym uniesieniu, bardziej z powodu piwa niż z tego jak cudnie chór zaintonował. Ktoś robił zdjęcia, paru przechodni zatrzymało się jak konie kiwając głowami, drogą przejechał samochód, chodnikiem jakiś cień i czyjś rower ścigał się śladem wczorajszego człowieka, rower dzwoniem zabręczał, człowiek skręcił w uliczkę, słowem życie toczyło się dalej.
- Chodź!
Jasiu wyrwał mnie z zaułku bezprzedmiotowego zastanowienia. Wiedziałem, że zaatakujemy niestrzeżoną piwnicę, później on będzie malował a ja zadowolę się stwierdzeniem jak to malarstwo straciło rację bytu podobnie jak moje zaginione spodnie. Jasiu mówił że zarówno jedno jak i drugie – prawdziwa sztuka i spodnie – zginęła przeze mnie i w związku z tym teraz to moja kolej zejść do piwnicy. Nie protestowałem. Piwnica kryła obok wina stare, niesprzedane przeznaczone do późniejszego zamalowania blejtramy, jakieś gwoździe, narzędzia, włączający się w najmniej spodziewanym momencie piec olejowy i skrzynkę książek z zakresu budowy maszyn. Ponad półką z sokami

piętrzyły się metalowe puszkki po duńskich ciastkach maślanych. Wszystkie były dźwięczne i puste. Swoją rozpaczliwą sytuację ratowały naśladowaniem blaszanego bębenka łudząc do tego śladem zwierzających przy kawie zapachów.

W niedzielę czasem bywała niedziela. Znaczyło to wyjście do kościoła. Nienawidzę przydługich kazań. Ilekroć słyszałem w życiu stek nudnych wynurzeń widziałem mojego anioła wspartego plecami o emporę i z olbrzymim cygarem w ustach. Im większe uniesienie mówcy, tym gęstsze kłęby dymu. Narkotyczna obojętność mojego stróża była zawsze dla mnie wyzwaniem, nigdy jednak nie zdobyłem się pójść za jego przykładem. Siła konwenansu? Raczej co by powiedziała moja matka? Jednego jestem pewien. Kubańskie cygaro świetnie pasuje do aksamitu anielskich skrzydeł a w kościele ma subtelny posmak zapachu kadzidła. Kościół stał przy rynku. Dwie wieże w stylu włoskim, ubogo zdobiona nawa. Nazwa „franciszkański” świetnie oddawała jego prostotę, choć zamożność ludzi wewnątrz przeczyła podejrzeniu, iż mogliby kiedykolwiek być braćmi świętego Franciszka. Wychodząc z kościoła ksiądz uwielbiał podawać ręce, wychodzący uścisk odwzajemniali marząc o zbliżającym się obiedzie. Msze prowadził wiecznie uśmiechnięty mężczyzna w średnim wieku. Widać było jak bardzo zdawał sobie sprawę z publiczności przed którą przyszło mu występować. Dobrzy księża to gatunek wymierający. Zdają się być częściej dobrymi ludźmi aniżeli pasterzami. Stała pensja nawet największego ideologa pozbawi poczucia misji. Jakoś

nie cierpieliśmy z tego powodu. Było miło choć nudnawo, wszystko na swoim miejscu, trwało na tyle szybko by mój anioł nie zdążył dostać raka płuc. Po nabożeństwie zawsze spotykało się jakąś znajomą twarz, za którą niekoniecznie się przez mijający tydzień tęskniło: „Dzień dobry!”, „dzień dobry.”, „jak miło was widzieć”. Anioł na to tylko chrząkał, wypluwał resztkę cygara i odfrukał.

Zwyczajne, proste i bezpretensjonalne, to można powiedzieć o winie które w miejscach publicznych zawsze smakuje inaczej aniżeli pite pod nadzorem nawet najbardziej uprzejmego kelnera. Restauracje i bary nie dają tego klimatu ukradkowych spojrzeń zde gustowanych matron. Brak szelestu bibuły czy dowolnej papierowej torby pozbawia uczucia przełamywania konwenansów, nie mówiąc o prozaicznym zaspokajaniu pragnienia. Tak, pragnienia bohemy i dotknięcia żywotu legendy. Grunt to nie dać się złapać i szczyrzyć się na każdego przechodzącego policjanta. Facet z płótnem i pędzlem, siedzący do tego w południe pod drzewem nie może być do końca normalny. Bolał mnie później żołądek. Odruchowe sięgnięcie po terpentynę w słoiku zawsze u mnie, w przeciwieństwie do Jaśka, tak się kończyło. Kiedy lało uwielbiałem światło. Siedziałem na poddaszu próbując coś wysmarować z pamięci. Im rzadziej słońce wyglądało zza kalenicy tym bardziej go pragnąłem. Farba tylko wtedy nabiera wyrazu gdy wypruta z przyschniętej tuby pozostawiona zostaje na pastwę słońca i powietrza. Ręce w tym wszystkim najmniej ważne, jak mówił Jasiek „tworzy tylko umysł i jemu poddane są

wszelkie środki”. Wszystko można nazwać, sam język przy tym nie kłamie i nikt go o to nie oskarży. Patrząc na to co robiliśmy z farbą zauważyłem różnicę między iluzją a prawdą obrazu i to jak tylko to pierwsze jest osiągalne. Malarstwo to było wyzwanie. Nie, nie artystyczne. Choć niektórym tak właśnie się zdawało. Chodziło nam tylko o pieniądze. Czasem nawet nie o ten szmal bezpośrednio wkładany do ręki, a o żarcie i darmowe legowisko, formę atrakcyjnego spędzenia czasu ot i tyle. Byliśmy jak artyści typu „artystyczna hurtownia”, dogadzający klientowi, uprzedzający jego potrzeby w dowolnym kolorze i formie. Marzy mi się tamten czas bez zatargów o zlecenia. Zobaczyć wszystko na nowo wyłącznie przez pryzmat opróżnionych butelek i przegadanych wieczorów z gapieniem się w chmury. Przez parę tygodni zostało zrobionych parę zdjęć i pół prawdziwego obrazu. Pół, bo dolna jego część nabazgrana była zgodnie z korektą klienta.

Najtrudniej zagłuszyć wstyd tego co przychodzi do głowy o ile zawstydzenie można jeszcze wywołać. Czy wstydzę się pytania: „co to za dom?” Nie, ale kiedy słyszę Jaśka perswadującego klientowi że to „schron przeciwatomowy Czerwonego Kapturka” czuje zakłopotanie bez względu na sztukę pozy, wyrafinowane poczucie humoru i to jak usilnie wrywa się racjonalne stwierdzenie „to dom pani Muller” wymieszane z Jaśkowym „tak, pani Muller, przecież mówiłem, że to schron Czerwonego Kapturka”. Klient już nigdy więcej nie popatrzy na dom swojej sąsiadki tak jak dawniej.

– Ty to jesteś niezły palant!

Jasiu wypiął zadek i skakał na jednej nodze.

– Jestem artysta! Artysta! Artysta!

Ponoć osoba twórcy umniejsza jego dzieło. W przypadku Jaśka bez niego obrazy były tylko w połowie sobą, coś tam mówiły ale było to bez jego komentarza takie niemowlęce gaworzenie.

– A oto moje wino!

– Ciężko jest wzdychać do muzyki kiedy w gardle piach – rzuciłem.

– Dawaj, idziemy!

Idąc czasem śpiewaliśmy z radiem piosenki. Mieliśmy takie małe чудо z nastawioną jedną nieusuwalną stacją. Do radia pasowały baterie z pilota telewizyjnego, toteż nie było większego problemu z zasilaniem.

– Porozmawiaj ze mną jeśli mnie kochasz

– Porozmawiaj z nią jeśli mnie masz gdzieś

– Porozmawiaj z nim żeby dał sobie spokój

– I poszedł spać! Yeeh! I poszedł spać!

– Tak Ci jest niezbędny

– Aaa... przez godzinę

– Aaaaooo... bluuuuues i spadaj już!

Cóż to być artystą? Wtedy każdy z nas to wiedział.

To być sobą, powiedziałbym ponad wszystko sobą, albo przynajmniej coś w tym rodzaju. Zasadniczo równia pochyła. Anioł z obrazu patrzy na mnie wprost, trzyma coś w dłoni, to ja, lekko się uśmiecham szepcząc „dobrze, że jesteś” a on jak to anioł, po chwili odlatuje. Może wcale go tu nie było? Był z całą pewnością, tylko po co to wszystko malowaliśmy? Może dla kasy, może dla siebie? Dziś wiem, że kiedy zaczyna się o to pytać, przestaje się być artystą. Czy

jest coś ważnego co należy tworzyć? Sztuka to hochsztaplerstwo, a malarz gładzący o obrazach to szaman – taki jak Jasiiek zaspany, z jakimś nieporozumieniem w ubraniu, błyskiem w oczach i leżącym zawsze w pobliżu szkicownikiem. Żałosny i wielki.

Znowu to coś przede mną staje się płaskim obrazem. Parę wymuszonych pociągnięć pędzla przypomina wczorajszy, nie najlepszy humor. „To jest takie piękne!”, albo „to jest takie smutne...”, rzadziej „a czemu on patrzy jakby stał ktoś za mną?”. Ludzie, ludzie, ludzie! Czasem chce się wyć! Rodzi się to takie durne to, bezsensownie trawiące samo siebie, obrzydliwość. Lubiłem to miasto na jedyny możliwy sposób, uśmiech błysków porannej rosy na bruku, zapach świeżych bułek na śniadanie, pięć rodzajów sera, ludzi miałem po dziurki w nosie. Ciekawe w tym mieście było to, jak łatwo z nim się człowiek oswajał, jak szybko po opuszczeniu jego granic za nim tęsknił, a mimo to nie chciał w nim pozostać na dłużej. Miasto miało coś z dusznej atmosfery straganu. Ze swoimi klaustrofobicznej szerokości ulicami, fachwerkiem i małymi oknami kojarzyć się mogło z Alicją goniącą za królikiem, albo siekierą czającą się w dłoni jakiegoś utopca za rogiem bajki braci Grimm.

– Jasiuuuu!!! Zostało tam co w piwnicy? – przerwałem poranny mentalny spacer po zakamarkach osobistego szaleństwa. Poczulem głód – no tak, przepraszam – raczej pragnienie.

– Nie ma! – warknął.

– Nie ma! Nie ma! Nie ma! – podchwyciłem. – Nie pytałem o to czy nie ma ale o to czy jest!

- Wiem wiem, źle się czujesz, nie chce ci się malować, śniły ci się brudne skarpety i ksiądz na wewnętrznej stronie flamastra. To się zdarza. – dodał z udanym politowaniem – tobie nie pierwszy raz.
- No dobra – rzuciłem. – Sam kupię!
- Idź, idź! – zawołał z wyczuwalnym uśmiechem. – Wiesz, musisz być cały czas z przodu! Awangarda, rozumiesz? – wychylił się zza płótna, tępnał okiem przekrzywiając usta, odchylając do tyłu głowę wyszczerzył zęby z ubytkiem plomby lewej górnej trójki.

Nieświadomy niczego dolny rynek od wczesnego popołudnia przeżywał tak zwaną akcję paraartystyczną Jaśka. Z jęzorem na wierzchu, stopami pomalowanymi na niebiesko Jaśko biegał ze trzy godziny w koło, ginął w dole ulicy Kwiatowej a po pięciu, później po 10 minutach wracał jak wiatr ze wzgórza rzucając na płótno pociągnięcia pędzla umoczonego nie wiadomo gdzie i nie wiadomo czym – bo normalnej farby to nie przypominało. Całkiem spora grupka osób już po godzinie spektaklu stała i czekała na to jak Jasiek przelatując maźnie coś na blejtramicie. Zatrzymywali się ciastkarze, matki pchające trójkołowe wózki, listonosz, babcia właścicielki sklepu warzywniczego, jeden mercedes, nastoletnie bliźniaczki w drodze do szkoły, jeden pies i trzy koty. Byli nawet tacy co kiwali głową, że całkiem fajny pejzaż z tego wychodzi. Ja nie rozumiałem tu nawet własnego rozumienia tego co się dzieje. Zresztą bezpodstawne obawy. Obraz jeszcze wieczorem został sprzedany, a Jasiek zaśmiewał się jak to został tematem numer jeden wieczoru, jak do tego doszedł, a właściwie jak

sam do tego dobiegł. Szef knajpy był wniebowzięty, obroty wzrastały, ludzie leźli do knajpy jak do jakiegoś dziewiętnastowiecznego zoologu popatrzeć na maratończyka, wypić kawę, zjeść deser i kupić częściej niż zwykle płótno albo jakiś sygnowany Jaśkowym bazgrołem szkic.

Wieczorem biegacz był już jakiś zwiędły. Paczka po papierosach sponiewierana ledwo trzymała się na skraju parapetu a Jasiak siedział obok niej międląc w dłoniach zapalniczkę. Owłosione łydki połyskiwały w blasku kończącego się dnia dwa piętra ponad klientami kawiarni. Zauważając, że wchodzi do pokoju odchylił głowę i zapytał:

– A wierzysz Ty w Boga?

– Ja?

– A niby kto tu jeszcze jest i do kogo niby jeszcze mogę teraz gadać? – zdecydowanie nie miał dobrego nastroju, ale brnął dalej.

– Bo ja chyba mam z tym problem.

– Z tym? Z wiarą czy z Bogiem?

Wyszczrzył zęby.

– Eeee! Ty to bystry jesteś! No faktycznie bardziej to mam problem z wiarą niż z Bogiem.

– Nie obraż się – mówiłem szczerze rozbawiony tym nieoczekiwanym zejściem na temat eschatologicznego wymiaru pracy artysty – naprawdę nie obraż się, ale jesteś takim klasycznym przypadkiem dla każdego psychoanalityka.

– Bo wiesz artysta – Jasiak mówił w tempie właściwym siedemdziesięcioletnim wykładowcom.

– Wiem – wchodząc mu w słowo – artysta to takie zwierze które w Boga po prawdzie nie wierzy ale szczęście ma, że Bóg wierzy w niego.

– He, no właśnie – Jasiak odpalił i gasił zapalniczkę i ciągnął słowa jednostajnie – o to właśnie mi chodzi. I wiesz co jeszcze? Tak olśniło mnie jak to jest z innymi religiami.

– No ładnie, dwadzieścia parę lat i wie to na czym nie jeden zęby zjadł – bezwstydnie szydziłem.

– Bo to jest tak. Artysta to kwintesencja rozwoju człowieka. Zwykli ludzie wierzą bądź nie w Boga a tylko prawdziwych artystów Bóg słucha i podpatruje co tworzą. A tworzą jak na Boga przystało.

– No ciekawe.

– Nie przerywaj, jeszcze nie skończyłem. I to jest tak.

Z niepokojem patrzyłem na to w jakim jest stanie siedząc w oknie z dyndającymi nogami, jakieś siedem metrów nad ziemią.

– Słuchaj – Jasiak skupiał prawie całą moją uwagę – słyszałeś o reinkarnacji?

– Koty siedem razy, a człowiek to zależy gdzie się urodzi. Słyszałem, że jak jednego gościa wprowadzili w trans to jak sobie przypominał poprzednie życia doszedł do momentu w którym był drewnianym słupkiem na ganku.

– Słuchaj! Żarty żartami ale reinkarnacja ma sens, a ja znalazłem klucz do pojednania różnych wyznań.

– Żebyśmy zaraz w imię pojednania nie uciekali z Mekki do Medyny – nie pamiętałem o co chodziło z samą ucieczką Mahometa, ale jakoś samo mi się wyrwało.

– Arabów to ty zostaw w spokoju. – Jasiak perswadował jednostajnie. – Na początek Hindusi, Buddyści, wszyscy Ci co dziś pracują na dobre bądź nieciekawe odrodzenie po tymczasowej śmierci. Fajna koncepcja, umierają, rodzą się, umierają i znów rodzą, nuda kompletna, raz wół, raz motylek, maharadża, a tu znów baobab, aż dochodzą do najwyższego stadium po którym odrodzenia już nie ma.

– No i? – jakoś mnie zaczął nudzić ten wykład – tyle to wiem.

– No i chodzi o to, że na tym ostatnim stadium tacy wierzący w reinkarnację rodzą się chrześcijanami i dlatego ci nie wierzą w reinkarnację.

– Faktycznie miałeś olśnienie, oj nie wiem co piłeś ale też tego chcę.

– Nie jest to mądre? – Jasiak najwyraźniej pytał na serio, a mi nie chciało się brnąć w tę dyskusję dalej.

– Mądre, mądre, tylko kto Cię lubi jeszcze tak bardzo jak ja żeby cię słuchać? –próbowałem zażartować.

– Kto? Jak ty posłuchałeś to posłuchają i inni – Jasiak odchylił się do tyłu, później do przodu, znów do tyłu, jeszcze bardziej do tyłu, w końcu złapał się krawędzi otwartego skrzydła okna i wypadł na środek podłogi.

– Wiesz co? – zapytał. – Muszę wyjść.

Wstając wyciągnął lewe ramię na wysokość mojego podbródka, pokazał kołyszące się w lewo i prawo wnętrza dłoni i zniknął na końcu korytarza co uniemożliwiło korzystanie z ubikacji na tym piętrze na dobrych kilka godzin.

– Wiesz – Jasiak trochę zadumany przycisnął kciuk do blatu stołu – ja to chciałbym zrobić coś co byłoby sztuką.

– A nie robisz tego? – trochę mnie zaskoczył.

– To co malujesz? – zerknął w stronę okna i dodał – to jest gówno warte, nikt dzisiaj nie ceni malarstwa, liczy się ruch, spektakle, to co robimy to takie żywe muzeum.

– No to może jak malujesz to wetknij sobie pędzel do tyłka i tak próbuj robić tę, jak jej tam, sztukę nowoczesną.

Nie mogłem powstrzymać się od złośliwości, tak jak zawsze gdy ktoś mówi mi, że chciałby zrobić coś ale nie mówi co konkretnie.

– Obraz nie ma być jak aspiryna, witamina C, ani jak – Jasiak najwyraźniej nie przejmował się moim wtrąceniem – ani, ani... – zastanowił się – ma być jak heroina.

– Brałeś kiedyś? – zapytałem.

– A po co? Ja mam odlot bez dopalaczy – wyszczerzył zęby – to ja jestem heroina, ogniem swojego oddechu osiągam trzecią prędkość kosmiczną!

Miał wielką radość z wypowiedzianego zdania. Przypomniały mi się jego wijące się akty rysowane węglem. Faktycznie to on jest jak narkotyk i to spustoszenie jakie pozostaje po przedawkowaniu. Pasja i nieokiełznanie w każdym pociągnięciu. Kobiety spod jego rąk spaliłyby swoim ruchem każdego normalnego faceta. Nigdy nie zdradził kto mu do tych rysunków pozował, wiem tylko że potrafił tworzyć te wizje kłębiących się ciał zerkając na płaszczyzny dachówek, na wróble kąpiące się w kałuży,

słowem niczego nie musiał widzieć żeby mógł zobaczyć, a tego co powstawało trudno było nie kochać.

Któregoś dnia w kościele pewien starszy pan rozprawiał nad obrazem w lewej części ołtarza. Sąd ostateczny jak sąd ostateczny: typowe quattrocento, schematycznie, choć ładne z wdziękiem wpływów flamandzkich w najlepszym razie pokłosie prerafaelitów w istocie fantazja rady parafialnej sprzed czterdziestu lat. Przewodnik przybyłej z Wiednia grupy zachwalał warsztat artysty, paplał o urokach epoki. Ubawił mnie jednak skandalem wywołanym typową skądinąd praktyką malowania na obrazach podobizn ludzi współczesnych artyście. Chodziłem później przez kilka godzin ulicami miasteczka przyglądając się twarzą przechodniów a w duchu wykonywałem wyroki: ta pani z marchewką w koszyku na stronę potępionych, ten pan w oknie zbawiony, tamta pani przy witrynie po prawicy ojca przedwiecznego. Myślę sobie „jestem Bogiem”. Cudowne uczucie! Problem jednak w tym, że dziś oficjalnie wolimy malować abstrakcje i z całego sądu ostatecznego nici.

Pomiędzy ulicą Kamienną a skwerem lśnił kawałek wytartego asfaltu. Rozlana tutaj woda wołała ku niebu a niebo ślizgało się po powierzchni nie wiedząc po co, skąd ani jak długo jeszcze? Wieczór zapowiadał się nudny, jak co dzień, dobrze, że farba wszystko uniesie a wino utuli do snu. Ludzie omijali kawałek asfaltu. Pomiędzy dokładnie ułożonymi kostkami bruku był czymś tak nienaturalnym jak

żywa krowa na stoisku mięsny. Omijał go policjant, dziewczyna która nie chciała na nas spojrzeć, staruszka z polnymi kwiatami (ciekawe skąd je miała?), a nawet Jasiu niezdarnie trzymający sztalugę wołał nadłożyć kilku kroków anizeli wdepnąć w coś co było niewiadomo czym i niewiadomo dlaczego.

Sprzedaż wyglądała zwykle tak samo. Mina posępna, portfel miętoszony w dłoniach, pytanie o cenę i chwila zastanowienia.

– Idiota! Co on sobie myśli? – po chwili dodał głośno – Za ten obraz mogę kupić dobrej klasy trzyletnie auto!

– Niby tak – właściciel galerii z miną doświadczonego kelnera lekko się uśmiechał. – Ale tych trzyletnich samochodów jest tysiące, a ten obraz jedyny taki, na całym świecie.

Klient patrzył lekko przygryzając górną wargę.

– Chyba pan raczy żartować...?

– Nie. Zupełnie nie! – z pewnością siebie wbijając w gościa oczy. – Za taką sztukę to warto nawet umrzeć!

Klient serdecznie się uśmiechnął, pogładził brodę.

– Wie Pan co, mi to on do tapety na ścianie nie pasuje a Pan tu jeszcze takie pieniądze każe wykładać! A jakby dodać tu trochę zieleni, o tu, w tym miejscu.

Faktem jest, że szuka nie była tu najważniejsza i nie po raz pierwszy. Pamiętam długą dyskusję naszego, że tak powiem, marszanda z upacykowaną starszą panią. Forsa z niej kipiała, oblepiała jej palce, wisiała na uszach, wraz z każdym ruchem cudnie wyeksponowanych piersi jak w przepiękny dzień świeża bryza na morzu jej włosy, gdzieś

tam pod farbą siwiejące, powiewały platynowym odcieniem. No! To się rozmarzyłem! Do rzeczy. Ta kobieta zameęczała właściciela knajpy filozoficznymi dywagacjami na temat nasycień, faktury i ekspresji, przechodząc subtelnie na przestrzeni kilkunastu minut serdecznej wymiany zdań do formatu obrazu i wysiłku tapicera włożonego w jej pseudowiktoriańską sofę, wynikiem czego jedno z wiszących naszych dzieł musiało być nieznacznie skorygowane.

Bordiura wpierw jak śnieg biała, później krwista czerwień i ślady akrylowego złota, zielonkawy olej Talensa o odcieniu zmrożonej gruszki w końcu listopada na zapomnianych drzewach ogrodu moich rodziców. Oczy miał skupione, trochę nieobecne a jednak pilnie obserwujące rozdygotanie chwili przelewanej na płótno. Gdzieś pomiędzy Santiago de Compostella a oceanem ktoś dławiący się w tej chwili pikantną fasolową zupą z orzechami ziemnymi przez łzy widział zapewne to samo co ja na rodzącym się obrazie Jaśka. Pejzaż oddalony o trzydzieści godzin jazdy, pełen światła południowych zboczy Pirenejów, rozświetlony i konwulsjami pociągnąć pędzla był tu obecny. Każdy z licznych przechodni rozpoznać mógł ulice, drzewa, domy znanego im miasteczka, jednak to pozór był tylko, tak samo realny jak to samo światło Hiszpanii zakłęte w czereśniowych odcieniach wina Arzuaga Crianza, tak samo żłudne jak nasza fizyczna obecność w środku Europy, podczas gdy nasze umysły oszołomione wizją słońca dryfowały gdzieś na południu. Plan był taki. Jeszcze z dwa tygodnie chałturzenia i wyjazd. Wpierw Francja, Monaco, ostateczny cel: Katalonia.

Dlaczego Katalonia? Przede wszystkim dlatego, że pięćset lat temu grano tam piękną muzykę. Jak tylko ktoś wtajemniczony w nasze podróżnicze plany zagadywał: „a dlaczego do Katalonii?”, my do znużenia powtarzaliśmy jak mantrę: „bo pięćset lat temu Diego Armando Christobal de Morales napisał tam cudowną muzykę”. Trwało to kilka dni. Wizja była tak piękna, że trudno było nie mówić o niej głośno. Plan jednak nigdy się nie zrealizował. To co wydarzyło się w przeciągu kilku następnych dni zmusiło do zweryfikowania zamiarów, a nawet poddało w wątpliwość sens tego co robimy. Słońce Hiszpanii zgasło stając się chłodnym wnętrzem klimatyzowanego muzeum sztuki nowoczesnej. Ta okropnie śmieszna nazwa: muzeum sztuki nowoczesnej, po tych kilku dniach kojarzyła mi się już tylko z Jaśkiem.

Koniec lipca przyniósł załamanie pogody, chłodne podmuchy przedwczesnej jesieni, zamianę wina na piwo a farb olejnych na tempery. Humory wszystkim opadły. Co rano ciągle to samo: ledwo ciągnące się za nami nogi i mruknięcie szefa „Guten Morgen meine Sorge” oraz współczujące spojrzenie na żonę i kawa. Chyba lubili się sprzeczać tak po prostu dla sportu. Robili to tak często, że aż można by się doszukać niczym nieuzasadnionej metodycznej regularności. Powód był oczywisty ale nieartykułowany. Zarówno ja, Jasiiek, cała reszta a nawet żona szefa wiedziała o co chodzi. Każda kłótnia owocowała wzburzeniem i zniknięciem na kilka godzin szefa w przestrzeniach tego małego miasteczka, częściej jednak zaledwie kilka metrów obok, na szczycie wewnętrznych

schodów prowadzących do pokoju z łazienką. Wchodziło się od zewnątrz, toteż szef miał poczucie, że może tam wejść niezauważony nie wzbudzając czyjegokolwiek podejrzania, podobnie jak jego kochanka, wystukująca swoimi niskimi szpileczkami sygnały o swoim nadejściu. Robiła to ledwie piętnaście minut po jego zniknięciu, a dzięki drewnianym schodom, nawet kiedy udało jej się przemknąć pod oknami, było ją słyszeć na całej płycie górnego rynku. Widok był przecudny. Kragła blondynka z wyeksponowanym dekoltem i przykrótką spódniczką jakiej kobieta mając choć odrobinę samokrytyki nigdy by nie założyła, wdrapywała się na stromiznę, wbijając metalowe podkucie szpilek w drewno nadpróchniałych schodów wydając odgłosy porównywalne jedynie z waleniem dzwonu w niedzielne południe. Być może jemu chodziło o zachowanie tajemnicy, ona zapewne miała zupełnie inną wizję swojego romansu. Martha miała jakieś półtora metra wzrostu, wiek zagadkowy, nogi obłe, łydki obciążone ciemnobrązową pończochą przypominały serdelki serwowane na czwartkowe kolacje, i pewnie równie gorące. Po dotarciu na górę patrzyła na właściciela knajpy jak ten drapie się w tył głowy, przeciągała się jak kotka, zrzucała niedbale niemal wszystko to co akurat miała na sobie, kładła się twarzą do łóżka, wypinała pośladki tak, by nasz szef mógł zdjąć z niej bieliznę. Uwielbiał ten widok, te wielkie wzgórza jak dorodna, pęknięta dynia i jej westchnienia kiedy tylko ją tknął, fale farbowanych włosów zręcznie rozrzuconych po pościeli. Jej wicie się w łóżku nie było tak słyszalne jak konwulsje w jakie wpadała niezwykle szybko od momentu wejścia. Mieliśmy niezły ubaw przesiadując u podnóża schodów zasłuchując się w żywe

fantazje naszego marszanda, jak dziewczyna jego marzeń rzuca się po pościeli dokładnie jakby wszelką wiedzę o sztuce miłości posiadała z duńskich filmów porno, na koniec z rozpostartymi rękami i nogami wytyczając kierunki północ – południe i wschód – zachód. Ta kobieta już na pierwszy rzut oka była zaprzeczeniem żony szefa. Ta szczupła, żeby nie powiedzieć chuda, prawie nie wychodziła zza lady, zaglądała do kuchni, ścierała stoliki spaceru zaliczając w drodze na zakupy. Czasem malowała. Były to obrazki tak poprawne jak tylko można to sobie wyobrazić, żadnych szaleństw, z precyzją bez osobowości jakiej od tak skrytej osoby spodziewać by się można było. Nie wiedzieliśmy czemu tu jest. Dlaczego nie odchodzi od tego gbura? Czemu go kocha i jak to jest że kiedyś pewnie kochająca dziewczyna zaczyna swojemu mężczyźnie matkować. Teraz jak o tym myślę, że chyba go nie kochała, bała się zostać sama, wtedy sądziliśmy raczej, że tą kotwicą w knajpie jest jakieś niewyobrażalne poczucie winy, o jakim woleliśmy nie słyszeć ciesząc się mijającą chwilą.

– No to pa – primadonna zwiewnie spłynęła na rynek. Zawsze szeptała na pożegnanie tak głośno by ktokolwiek znajdujący się na dole mógł to usłyszeć.

– Do jutra – odpowiadał Romeo. Zamykał drzwi i rzucał się na wymiętoszoną kołdrę.

Trzeba było się przesiąść kilka metrów dalej. Ślicznotka z tendencją do osiągnięcia standardów Wenus z Willendorfu już po chwili stuknęła z niebywałą jak na swoje kształty lekkością o bruk z półuśmiechem skierowanym w naszą stronę.

– Dzień dobry Pani Martho – rzucaliśmy rozradowani.

– A cześć chłopaki – rozpromieniona twarz ginęła w burzy rozpuszczonych włosów – jak tam, na farby jeszcze macie?

Wyglądała i byliśmy pewni, że jak wyglądała tak samo smakowała – jak pączus posypyany cukrem pudrem. Spotykaliśmy ją często. Nie! Nie pożyczaliśmy kluczy do pokoiku na szczytcie starych schodów! Tak dobrze nie było. Zwyczajnie zaglądała do knajpy jak gdyby nigdy nic. Szef rozmawiał z nią jak z każdą inną klientką, żona szefa jakby o niczym nie wiedząc podawała jej ciastko z bitą śmietaną, my zaś jak byśmy niczego nie słyszeli i o niczym nie wiedzieli z całą stanowczością ignorowali jej krągłą obecność. Lubiliśmy snuć przypuszczenia jak szczebiocze do szefa w pokoiku na górze, jak przemykając tym truchtem po rynku całą swą obłością prześlizguje się przez wejście i woła „mój ty robaczku!”. Szef po zniknięciu ukochanej tak szybko z piętra nie umykał. Wpierw dzwonił zapewniając, że czyta, że boli go głowa, w przypływie dobrej woli pytając o to co tam w knajpie, czy może jest potrzebny, ale nawet jeśli tak, to że przyjdzie za chwilę. Później ni stąd ni zowąd powracał z miną zadowolonego podrostka, błyskami oczu wilka któremu znów się udało połknąć babcię i czerwonego kapturka jednocześnie.

Po weekendzie wszyscy czuli niepokój. Już trzy dni jak go nie było. Nie zabrał żadnych rzeczy, z nikim się nie pożegnał, nie istniał, wyparował. Szef próbował

zaangażować w sprawę nawet miejscowych dziennikarzy. Na próżno. Nikt nic nie wie, nikt nic nie widział. Początkowo wszyscy sądzili że utknął u kogoś ze znajomych, w końcu miał ich tu całkiem sporo. Czekaliśmy jeden dzień, trzy dni. Dzwonili w różne miejsca. Cisza.

Gdzieś o dziewiątej rano właściciela knajpy zgarnęła policja. Bez kajdanek i krzyków protestu, tak jak człowiek świadomy swej winy w pokorze oczekuje odkupienia albo jak ten który wie na pewno, że nic mu nie grozi. Po dwóch godzinach wrócił. Twarz miał taką samą jak zwykle, oczy niedospane, włosy nie do końca uporządkowane, puls w porządku, siorbanie przestygłej kawy takie jak zwykle. Tylko lewa ręka nad wyraz pobudzona, palce stukały po blacie, dłoń chwilami sięgała do brody drapiąc swego pana za uchem. Później znów sonaty Schuberta wstukiwane w talerzyk. Wreszcie podszedł, wyprostował się, rozejrzał po sali, obrazy jakby skinęły na niego, a on spojrzał na nas. Wybełkotał przełykając ostatni łyk:

– Znaleźli go.

Widząc nasze pytające spojrzenia dodał:

– Nie, nie... nie żyje.

Mundur policjanta miał ten charakterystyczny odcień lekko zgniłych liści wierzby. Reszta równie standardowa; głowa wygolona niemal do skóry, zapach mydła i nienaturalnie zadbane dłonie – widać, że jak w filmach pracownicy wydziałów zabójstw zawsze pracują w rękawiczkach. Stał przy naszym stoliku, poproszony o zajęcie miejsca usiadł, zdjął czapkę (pod nią nie był już tak bardzo wygolony jak się wydawało), odchrząknął i wolno

wypowiadał słowo po słowie, lekko i spokojnie jak woda w rzece po kilku tygodniach suszy, o tym jak Jasiak wypłynął na brzeg 40 km od miasta. Później seria pytań: kto i gdzie ostatni widział, co robił, z kim się widywał, dlaczego mogło do tego dojść. Najdziwniejsze były pytania o strój Jaśka. Trochę byliśmy ogłupiali i dopiero jak Maria rzuciła w przestrzeń „nie rozumiem dlaczego popełnił samobójstwo?” policjant z tym samym co dotąd wyczuciem tempa largo e pianissimo sempre stwierdził:

– Państwa kolega nie rzucił się tak po prostu z mostu, ani nie wpadł tam sam.

Nasze oczy musiały się zrobić bardzo duże i okrągłe bo policjant zwolnił, przepłynął wzrokiem po naszych twarzach, przymrużył lewą powiekę obracając jednocześnie czapkę o jakieś trzydzieści stopni wokół własnej osi.

– Pan Thomas nie mówił?

Nadał policzki i kończąc westchnięcie kontynuował:

– Wstępnie ustaliliśmy pomoc w wydarzeniu co najmniej dwóch osób trzecich. Pomoc – lekko się zawahał – że tak powiem...

Zapach mydła przebijał się przez aromat kawy a dzień za oknem był taki sam jak co dzień, senny z nielicznymi przechodniami na rynku i kotem wygrzewającym się na kamiennym murze. Policjant rozmawiał jakieś dziesięć do piętnastu minut, większą część poświęcając na analizę ubrań w jakich zwykle chodził, zwłaszcza o te w jakich widzieliśmy go ostatnim razem. Próbowaliśmy go zainteresować płótnami Jaśka jakie wisały w knajpie, na nic to się nie zdało. Na odchodnym prosił żebyśmy na razie nie ruszali się z miasta bo być może jeszcze

przyjdzie w sprawie prowadzonego dochodzenia a my możemy być bardzo pomocni, bo on , jak to powiedział: „całej tej sztuki to nie rozumie”.

Patrząc na szefa knajpy ktoś niekryjący poirytowania powiedział:

– Całej tej sztuki nie rozumie? Palant a nie policjant. Chłopaka ktoś sprzątnął a ten wygaduje o nie rozumieniu sztuki i łachach w jakich łąził Jasiek!

– No nie, nie. – szef jakby się obudził. – Facet pewnie myślał, że wam powiedziałem.

Każdy zamilkł, oczekiwanie trwało może trzy czy cztery sekundy, ale wydawało się czasem wystarczającym na przeczytanie co najmniej jednego opowiadania.

– Jasiek – nasz szef wchodząc w tempo narracji policjanta cedził – miał na sobie tradycyjną szkocką spódnicę i tą jego długą, wiecznie wymiętą koszulę. Wiecie o którą chodzi? – Spojrzał i nie czekając potwierdzenia mówił dalej – no i na tej koszuli miał napis „wolnością artysty jest krew jego”.

Nikt już niczego nie powiedział. Fakt, spódnicę to Jasiek miał od dawna, ale tylko raz w niej biegał i to nie po mieście tylko po knajpie, z godzinę po zamknięciu w dzień urodzin szefowej. To miał być taki odjazdowy prezent. Happening na jednego bohatera i szkockiego podlotka. Maria była wtedy przebrana za Jaśka i śpiewała sprośne piosenki, reszta grała na pustych butelkach. Pomimo ogólnego upojenia nikt nie zgwałcił swym talentem pianina, co na drugi dzień zgodnie uznaliśmy za przejaw wrodzonego wyrafinowania, pokory wobec świata i uwznioślającego gustu.

Po trzeciej wizycie policjanta opowieść naszego szefa zyskała nowy wymiar. Będąc w kostnicy w celu zidentyfikowania zwłok właściciel knajpy był tak przerażony tym co widzi jak i grożącą mu plajtą związaną ze skandalem jaki miał w jego wyobrażeniu wywołać los – jego jakby nie patrzeć – malarza, że przeoczył w opowieści dość ważny element garderoby Jaśka. Trochę było to dziwne, w końcu był to facet który w obrazach potrafił dopatrzeć się niezwykle subtelných szczegółów. Całe miasto też w tej sprawie było jakby w półślepe ignorując całą sprawę. Myślano zapewne tak: może i ktoś umarł ale nie był to miejscowy a do tego nie jakiś normalny człowiek a artysta. Pamiętam jak szef któregoś dnia z odrazą rzucił na podłogę gazetę i burknął „no i czego o tym nie piszą!”. Wracając do kostnicy, to okazało się, że nasz marszand i mentor w całym swoim rozdygotaniu nie zwrócił uwagi na to, że koszula Jaśka była jak stygmat, jego credo i smutkiem jakim można mierzyć bezsens przedzierzgnięty w znaczenie. Ten napis był już na jednym ze sprzedanych obrazów. Dotarło to do nas dopiero po tym jak któraś z gazet „wreszcie” – jak to z niezrozumiałą euforią wyrzucił z siebie szef – zamieściła informację o zabójstwie wraz z fotografią Jaśkowej koszuli. Któryś klient przyniósł zakupiony przed kilkoma tygodniami obraz tłumacząc, że go nie che, że napis go przeraża i żąda zwrotu pieniędzy. Szef w całym tym irracjonalnym zakręceniu bardzo chętnie pieniądze zwrócił co zdumiało wszystkich którzy go znali.

– Napis brzmiał dokładnie tak: – policjant poprawił czapkę i dokończył – „wolnością artysty jest jego krew”.

Przerwał zaraz uzupełniając z zadziwiającą oschłością i brakiem emocji jakby mówił o burakach, rozsypanych pomidorach czy zwiędłej papryce.

– I nie farbą był wypisany ale krwią. – zrobił długą, znaczącą pauzę spoglądając na nas okiem szpicla mierzącego reakcje – jego krwią.

Kiedy policjant nam to wreszcie uświadomił wpiersz trochę nas wzdrygnęło, później zaczęło irytować, że to taki tani i banalny chwyt z popcornowego horroru, idiotyczne jak opowieść o Kubie Rozpruwaczu mieszkającym u sąsiada na półpiętrze czy nietoperzach–wampirach z Madagaskaru wysysających co do kropli krew swojej ofiary. Tak się jednak stało, żałośnie i prymitywnie. Z tego co opowiadał policjant napis musiał powstać co najmniej kilka godzin przed wrzuceniem do rzeki. W przeciwnym razie napis nie byłby tak czytelny. Nas jednak poniosła bardziej forma zbrodni niż sama zbrodnia, czcza gadanina o idiotyzmach, żalonym poziomie edukacji i bezduszności polityków. O samym Jaśku jakoś niewiele. Myśląc o tym dzisiaj nie zdumiewa mnie śmierć a cisza jaka zapadła po jego zniknięciu, przeraża brak łez u mnie, u nas, u właścicieli knajpy, wzruszają polne kwiaty pozostawione na schodach przez Marthę.

Policjant przychodził kilkakrotnie. Siadaliśmy w knajpie niczym na kółku różańcowym, rozprawiając o tym co się stało i o tym co mogło, naszym zdaniem, do tego doprowadzić. Policjant był bardzo wyrozumiały, wsłuchiwał się w nasze wypowiedzi, przytakiwał, od czasu do czasu

rzucił jakieś słowo, które myśmy później mleli przez kolejnych piętnaście minut mając na każdą sytuację i na każdą koncepcję swoje odrębne zdanie. Policjant był przemiły. Za czwartym, a może piątym razem był już autentycznie oczekiwany. Przygotowaliśmy ciastka, likier jakiego odmówił i parę zdjęć różnych prac artystycznych bo nie za bardzo rozumiał o co chodzi w dzisiejszej sztuce a my poczuliśmy misję otworzenia mu na to i na owo oczu. Pamiętam jak rzucił przypuszczenie, że to, jak został potraktowany Jasiak, przypomina, z tego co opowiadamy, niektóre działania artystów. Wybuchliśmy śmiechem kwitując, że musi się jeszcze kilka razy z nami spotkać, bo to nie do końca chyba zrozumiał to o czym mu mówimy.

Mszę żałobną zamówiliśmy w kościele luterańskim. Wszystkim zajął się szef knajpy. Nota w gablocie ogłoszeń parafialnych była wyjątkowo elegancka. Ciało Jaśka miało już być w tym czasie w drodze do domu, gdziekolwiek to było. Celebrujący mszę pastor miał niezwykle dar sprawiania na nowo poznanych ludziach wrażenia wyjątkowo inteligentnego i obeznanego w sprawach zarówno tego jak i tamtego świata. Wyróżniał się tym, że nikogo do granic poznania siebie nie dopuszczał, przez co mit wybitnej osobowości mógł kwiecić się nad wyraz swobodnie bez zważania na prozę i upadki życia codziennego. Brak szerokiego odzewu na tak wybitne indywiduum w kraju czy choćby w zakresie rodzimej diecezji tłumaczono skromnością pastora i głębokim przeżywaniem prawd wiary. Kto wie, może i było to

prawdą? Szanowany na granicy ubóstwienia kazania miał świetne, szkoda tylko, że tak słabo znałem język w jakim je wygłaszał. Nabożeństwa uświetniał występami chóru przez co kościół stawał się bajeczną filharmonią, rzeczywistością uniesioną jakieś trzy metry ponad ziemią. Cały kościół dryfował tak przez godzinę po spokojnym morzu dźwięków Dufaya i Pergolesiego. Uniesienie przerywała gimnastyka, cykle: powstań, usiądź i uklęknij. Na wyjście zaśpiewano When Jesus Wept. Coś we mnie pękło, miałem już tego dość. Kolejnego dnia wyjechałem.

W drodze na południe przywlokłem się do Paryża. Pogoda się zmieniała, było jednak na tyle ciepło by bez obaw wyłapywać okazję do przemieszczania się po Europie. W uszach brzmiało When Jesus Wept Williama Billingsa a deszcz uparcie przemaczał ubranie. Chciałem zobaczyć tylko słynne burdele Toulous Lautreca, dowiedzieć się czy patrząc na słynny wiatrak poczuję tę jego chybotliwą kreskę. To się jednak nie udało. Zapalczywie, jak to większość mężczyzn, próbowałem dotrzeć tam bez pytania o drogę i bez gapienia w mapę. Trafiłem pod Centrum Pompidou. Popatrzyłem na budynek, na te fabryczne konstrukcje, sterczące rury transatlantyka i jakąś tęsknotę poczułem za ulicami opuszczonego miasteczka z dziewiętnastowiecznej baśni. Przed wejściem ktoś wciskał ludziom ulotki. Czerwonymi literami wypisane było na nich między innymi zdanie które znałem dotąd jedynie z koszuli Jaśka. Z podpisu wynikało że jest to fragment wiersza niejakiego George Malee. Nawet się nie zastanawiałem. Wystarczyło

przejsć jakieś pół kilometra by zobaczyć plenerową wystawę czegoś w rodzaju instalacji, czy jakby to powiedzieć, filmów? Programów telewizyjnych? Kilkadziesiąt ekranów różnej wielkości z emitowanymi na okrągło ruchomymi obrazami. Niektóre przypominały zwykłą papkę telewizji śniadaniowej, inne majstersztyk grafiki i designu, parę było zdaje się kręconych gdzieś na wojnie, dwa – prawie takie same jak te wojenne – na dziewięćdziesiąt dziewięć procent na przedmieściach Paryża. Pierwszy raz widziałem coś takiego na wolnym powietrzu. Zwykle takie instalacje umieszcza się w mrokach galerii a nie pod błękitem nieba. Zwłaszcza, że w każdej chwili mogło lunąć. Fakt większość monitorów przypominała obiekty z targów staroci wyprodukowanych w poprzednim dziesięcioleciu i zapewne była w tym jakaś głębsza treść którą jak zwykle przeoczyłem.

Jeden mały telewizorek wydał mi się ogromny, prawie jak w kinie, a jednocześnie jak pusta ściana w rzeźni. Krew i udręczenie, i nieodparte wrażenie, że jest to właśnie to o czym myślę. Ciało dziwnie się unosi, krew z niego ciurczy strumykiem w stronę nieba. Zwykle odwrócenie kamery a dało taki zdumiewający efekt! Scena makabry pełna metafizycznego uniesienia i spokoju. Lekko kołyszące się na wietrze zwłoki obleczone w koszulę, taką jakby Jaśkową. Siła skojarzeń wywraca trzewia. Oszczędzając opisu, źle się wymiotuje niczego wcześniej nie jedząc. I to by było tyle Paryża. Południe czekało.

Po wielkich planach droga mijąca zupełnie nijako. Przyjemność przedzierzgnięta w znudzenie i apatię. Zamiast radości poznawania nowych miejsc jakaś niemoc,

przygnębienie, nawet to słońce niewspółmiernie do znanego mi z domu gorące było jakieś szare, prawie czarne, a powietrze przejrzyste niczym oddech w czasie pomoru. Kilka dni spędziłem w okolicach Santiago de Compostella. Nie doznając objawienia ani oczyszczenia skierowałem się w stronę Barcelony ostatecznie z Katalonii jadąc do Rzymu. Kolejna nieudana podróż; gorączka, mdłości, dwa dni na pace niewiadomo jakim cudem dopuszczonej do ruchu ciężarówki. Europa z jej perspektywy była snem, koszmarnym złudzeniem, czkawką po wygłoszeniu pobożnych życzeń. Zaułki jakimi przemieszczał się facet za kierownicą ogarniały mnie nieoswojonym przerażeniem. O nic nie pytał, niczego nie mówił, uśmiechał się tylko, co kilkadziesiąt kilometrów zatrzymywał się wygarniając karton z rdzewiejącego kontenera za którym spałem. Widok ludzi, zwłaszcza kobiet pojawiających się z zakamarków miast jakie odwiedzailiśmy ścisnął przełyk każąc siedzieć cicho. Podawał karton, gestykulując odmawiał wyraźnym zachętom wejścia do wnętrza budynków, parę kilometrów dalej to samo. Czasem w tym samym mieście zatrzymywaliśmy się nawet cztery razy. Podziękowanie, gest pozdrowienia albo rzuconego na odchodne żartu i znów w drodze. Ja jechałem za darmo. Facet był przeszcześnieśliwy z wymalowania mu dziewczyny na masce jego kosmicznego pojazdu. Handel wymienny to coś, co powoduje że jesteśmy nieco bardziej ludzcy i jakby pozbawieni dystansu jakiego uczą nas pieniądze. Wierzyłem w to i przemieszczałem się dzięki trybom zależności i wdzięczności. Kierowcy było trochę niezręcznie wieść mnie z tyłu auta, no ale była tam przynajmniej stara pachnąca formaliną kanapa, natomiast w

miejscu siedzenia pasażera w kabinie była dziura z bezpośrednim dostępem do silnika.

Rzym znałem z opisów dziwiętnastowiecznych powieści i przewodników po historycznych zaułkach. Nic się nie zgadzało. Kiedy już zwlokłem się po raz ostatni z mego wonnego łoża ostatecznie rozstając się z moim kierowcą, nie wytrzymałem i zapytałem na tyle ile pozwalała mi znajomość hiszpańskiego, co też takiego dawał tym ludziom? On się tylko uśmiechnął. Podał rękę. W dłoni została mi ulotka z napisem „jeśli nie zaczniesz dbać o siebie – jutra nie będzie”. Było jeszcze jakieś logo i schemat dłoni. Nie wyjaśniło mi to niczego, dziwnie jednak spokojny, nie pomyślałem o tym już więcej.

Zaczęło lać. Pionowa ściana deszczu wpędziła mnie pod dach teatru. Ktoś skinął ręką gdzie mam iść. Wnętrze ciemne jak to w teatrze, przez chwilę jeszcze myślę o braku biletu, znajduję wolny fotel. Na scenie leży halabardnik z papieskiej gwardii Szwajcarów.

Celem mojej podróży była Sykstyňa. Chyba od zawsze tak było, dopiero teraz to do mnie dotarło. Pewnie przez ten chłód i echo. Jest już czternastego. I wciąż mi smutno. Przygnębia czas spędzony nad sobą. Te same ręce, te same świętokradcze oczy wznoszące się do czegoś na kształt rzeczy z których wyrasta to co mam ochotę nazywać sztuką. Prawda dzieła sztuki nie leży w obrazie, nie dlatego, że jest gdzieś poza nim, ale dlatego że w sztuce istotnie nie chodzi o prawdę. Słowo to tyle co znak, choć niestety to trochę na skróty. Skrót to tyle co gest, dźwięczny jak słowo, ale przecież to słowo mówi, że Bóg przemawia do prostaków obrazem. Słowa tylko wydają się

prostsze. Z tą jednak różnicą, że to one właśnie próbują dla swego nieszczęścia dotknąć sedna obrazu, a obraz bez słów może się obejść. Tej istoty sytuacji zakłętej w przedmiocie, tego stawania które czasem zatli nikłym płomieniem w tym co robię, rzucając wyzwanie percepcji, prawdy nieistniejącej i obecnej po widzialnej stronie płótna.

Leżę na wzorzystej posadzce. Stan horyzontalny, temperatura dająca wytchnienie przez pierwszych pięć minut kontaktu, po tym czasie wbija w płuca możliwe zapalenie płuc. Na wprost mojej twarzy widzę węża. Jest na tyle daleko by nikt nie słyszał jego przekleństwa. Rozglądam się za Małym Księciem, ale widzę tylko nagie postacie kobiety i mężczyzny. Wąż nie jest zbyt nachalny, spokojnie wiję się wokół drzewa, bezwiednie doprowadzając mnie do wniosku, że chłopiec już wrócił do domu. Moje plecy jednoczą się z wszystkimi zamasytymi ruchami mioteł które zdarty się tutaj przez ostatnich kilkaset lat, twarz wbita w przestrzeń historii grzechu, ponad głową oczyszczenie albo śmierć. Marzyłem o tym miejscu od lat. Sala konklawe, Watykan.

Tak naprawdę nic nie ma znaczenia. Pojęcia, czas, przestrzeń, wszelka miara służy być może statystyce, jednak oddać sedna nieogarnionego nie może. A jednak to człowiek ma czelność definiować Boga, tylko człowiek jest jego żywą kreacją, i tworzywem, pyłem w imię wolnej woli pomiatanym przez wiatr. Jeśli sztuka jest miłością to co widzę jest wszeteczeństwem, jeśli gniewem to i sam nim jestem, jeśli prawdą to kłamstwo nie istnieje, jeśli leżę tu naprawdę to pewnie też nie istnieje. Ilekroć sztuka pragnie otrzeć się o moje jestestwo odczuwam tylko stan trwania. Nie mój, nie dzieła. Istnienie świata. Uporządkowane „ja” myśli i przedmiotu.

Bezcielesność w której sztuka by istnieć nie musi być namacalna. Brak dowodu wypełnia zadumą, inercja niczym śmierć, lecz póki pytam to żyję, jeśli jestem, istnieje też wszystko to o co chcę zapytać.

Jako głupcy w potocznym rozumieniu wyżej cenimy trafność odpowiedzi niż precyzję konstrukcji pytania i stąd wątpliwości czy tacy jak ja mają wciąż o czym pisać. Dlatego sztuka od momentu jej usankcjonowania wykracza poza definicje, rozpycha się, nadyma, witalność poddaje grozie, jeśli uznaje ciszę to tylko z tą nadzieją, że cisza ta przełamuje fale. Dlatego chcę znów dotknąć sklepienia, obnażyć przekleństwo i zasnąć. Słowo to tylko pretekst, choć tekst o sztuce to też najprawdziwsze dzieło. Każdy tekst dotyczący sztuki popętnia ten sam błąd udowadniania sumy dwa plus dwa, przez wypowiedzianie takiej kwestii głośno. Werbalizacja niczego nie dowodzi już niczego. Materializuje absolut, mówi o tym co niewypowiedziane, przekonuje o prawdach nieistniejących, wskazuje na immanentność rzeczywistości która mnie, jako odbiorcy, nie powinna obchodzić.

Wąż śpi.

Jego Pan wyłonił się z otmętów chaosu. Słowo którym był wprzódki unosiło się nad wodami marząc o światłości. Dlatego w nim było życie, a życie miało być światłością ludzi. Bóg widząc, że światłość jest dobra, oddzielił ją od ciemności. Wskazując ręką nazwał światłość dniem, a ciemność nocą. I stworzył Bóg Adama, co znaczy człowiek. Nie tchnął ducha w niego, lecz przekazał iskrę życia. A kiedy ten spał, Pan uczynił tę co ciałem z ciała, krwią z krwi jest. Niewiadzę, by człowiek zrozumiał czym jest upadek.

Parzę w sklepienie. Michał Anioł był tchórzem. Walczył końską szczecinią zamiast mieczem.

Ciągle leżę, chłód przenika do nerek promieniując po wnętrznościach. Dzisiejsza sztuka to hochsztaplerstwo. To bardzo proste. Hasło którego siła nie tkwi jego programowej negacji a w najzwyczajszej kpinie. A tą kupią wszyscy. Bo kiedy takie słowa mówi krytyk są one zajadłe, kiedy artysta pokazują rezerwę do siebie. Demaskuje pojęcie mitu przez jaki mamy nieszczęście patrzeć na siebie.

Michał Anioł czy usakralizowany Duchamp przegrał w momencie gdy sztuka przestała się bać. Nie, nie! Nie mam na myśli towarzyszącej od dawna sztuce wolności. Wskazuję tylko na stan, w którym przestaje istnieć tabu, w niebyt odchodzą lęki (czasem zwykła zabańwa) towarzyszące łamaniu konwencji społecznych. Nie stanowi problemu jak coś wyrazić, tylko gdzie. To nie widz, a sztuka poszukuje odbiorcy. Czy sztuka wobec tego może pozostawać sprawą wiary? Wiary za swój wykładnik podającej jedynie siebie? Poza skalą bezpiecznej niedefiniowalności? Jak niewierzący i praktykujący oczekują śmierci dzieła która nadejdzie wraz ze mną. Moralna starość konwencji zawsze może ufnie czekać jak Bach swego Mendelssohna choćby i w sklepie rzeźniczym. Coś może jednak przetrwać? Niektórzy chcą mi powiedzieć, że prawdziwa sztuka nie wyrasta z niczego. I to mnie zastanawia. Zwłaszcza kiedy każdy spektakularny przewrót jest tylko kalką pewnego dawno już zaistniałego faktu! A może to co definiujemy przez sztukę i dla sztuki porusza się po zupełnie innych, jak najbardziej dostępnych nam światach? Ja, ty, to – jako „inny”, „nieдоступny”, „prawdziwy”? Nie mam już farb, nie mam pędzli, jestem kim jestem, patrzę przed siebie i niczego już nie widzę. Jednym

słowem jest mi dobrze. Ecce homo, homo faber i ja niczym negatyw, prawie święty homo ludens.

Mężczyzna podniósł się ze sceny, światła nieco rozjaśniły przestrzeń. Oklaski. Ja też klaszczę, rozglądając się widzę jakieś trzydzieści może czterdzieści osób. Ciekawi mnie czy oni też wpadli tu chroniąc się przed deszczem, sięgam przy wyjściu po gratisowe egzemplarze gazet i wychodzę na zewnątrz ku fontannie. Po deszczu nawet śladu, trochę duszno, słońce lekko przysmaża mi skórę. Czytam. Ci idioci z Artreview twierdzą, że sztuką jest jej niedostępność, „niedostępność rozumienia” – jak napisali, a upowszechnianie tego, co w niej najświętsze degraduje ją do poziomu zwykłych sprzętów domowych. Elitaryzm zawsze jej towarzyszył.. Kiedy tak leżę na ławce rozumienie łechcze moją próżność i pomimo braku kasy i perspektyw pozwala patrzeć na siebie bez wyrazu pożałowania. Czytałem taki tekst o sekularyzacji samego Boga. Chodziło o to, że Bóg to taki banał przekreślający samym swoim istnieniem pośród ludzi fakt swojej boskości, przez co lepszy jest jako element promocji do sprzedaży podpasek niż do stawiania mu świątyń. Bardzo to wszystko kuszące, prawdziwa sztuka ponoć pozwala nam widzieć więcej. Kiedy ostatnio patrzyłem w lustro – a było to nie dawniej jak trzy czy cztery dni temu – dostrzegłem, że sztuka raczej para się odbieraniem rozumu i nie wiemy już zgoła nic. No właśnie, problem w tym, że w lustro nie patrzyła sztuka prawdziwa. Jestem teraz tu. Miałem napisać o człowieku który kochał sztukę, artyście który – jakby to powiedzieć? – dziwnie skończył? A zrobiłem tak jak zwykle. O sobie. Prawie

wyłącznie o sobie. Należą się słowa wyjaśnienia. Chociaż co tu wyjaśniać? Ja bym powiedział, że próżność spycha człowieka na krawędź absurdu, ktoś inny, że jest to chciwość, a ktoś mądry być może i obyty przy tym, że to wrażliwość przedzierająca się niczym młotek przez cienkie kartonowe ściany pozoru unaocznia prawdę. Tę prawdę, co ponoć ma nas wyzwolić.

Jasiek istotnie dyndał na filmie umierając, tyle że nie z utraty krwi ale ze śmiechu. Sam siebie nie mógł pojąć, przerastało to jego ekspresyjne dręczenie płótna, wisiał, krew go zalewała a w głowie kołatało „o kurwa ale jaja, ale jaja!”. Jak się o całej blade dowiedziałem? Mówią, że podróże kształcą i wiele wskazuje na to, że coś w tym powiedzeniu jest. Sprzedałem w Rzymie kilka sporządzonych naprędce szkiców do których rzekomo pozował sam papież – uwielbiam jak ludzie mi wierzą, to takie przemiłe uczucie. Mając parę groszy zaszalałem kupując bilet do Wenecji. O słynnym biennale nikt tam teraz nie pamiętał, miasto jednak miało swoje stałe miejsca na wystawy. Właściwie nie miałem ochoty oglądać czegokolwiek. Chciałem tylko wejść do bazyliki świętego Marka, wypić kawę jak doża i uciekać stamtąd bo smród tu i ówdzie z kanałów nie działał na mnie kojąco. Przesadzam z tym przewrażliwieniem? Całkiem możliwe, ale nikt mi nie wmówi, że gondole pływają po Chanel no.5! Zmusił mnie do odwiedzenia galerii plakat na którym rozpoznałem samego siebie. Porażające wrażenie. Nikomu tego nie życzę. Ohydne to i straszne. Prawie takie same jak wiadomość o tym, że sąsiad rozprowadza filmy z nagraniem tego co robisz w swojej sypialni, albo spóźnione uświadomienie

sobie podczas sądu ostatecznego tego, że Bóg widział Cię pomimo twoich usiłowań zawsze i wszędzie, dokładnie tak jak obiecywał i że niczego nie da się już cofnąć. Twarz niewyraźna, ręce wymachują, obok kilka innych, tak samo niewyraźnie ukazanych osób. Miejsce nie pozostawiało wątpliwości. Wnętrze bardzo dobrze znanej mi knajpy i wielki napis w języku angielskim: wolnością artysty jest jego krew. Trochę zdezorientowany, nieomal skradając się wniknąłem w półmrok galerii. Po paru krokach znany mi film, teraz byłem pewien że z Jaśkiem, krwią strzelającą ku niebu, nienaturalnie wielką ilością krwi. Dreszcze przeszły mnie od prawego ucha po pośladki rozbiegając się po żebrach i ramionach, kolana zmiękczając. Przez chwilę na skraju omdlenia z pulsującymi skroniami otaczała mnie czerń jak jakaś upiorna mgła rozplywająca się sączącym się dźwiękiem mojego własnego głosu. Za ścianą z wiszącym Jaśkiem i ściekającą ku niebu krwią na czterech ścianach wyświetlane były filmy. Podłoga usłana znanymi mi wycinkami z gazet. Każde słowo było w wyświetlanym filmie u dołu ekranu przekładane na angielski. Na każdej ze ścian inna rozmowa z policjantem w sprawie śmierci Jaśka. Nasze brednie o sztuce, nad żalostną formą doświadczonej śmierci i brak żalu po człowieku. Dźwięk wymieszany, kompletna kakofonia. Tyle. Czy było mi przykro? Myślisz, że to takie łatwe płakać z żalu bo ktoś jednak żyje?

Wojna

11-tego, tak przynajmniej mi się zdaje.

Jeszcze przez chwilę i pojedą na południe. My tymczasem pogrzebiemy w ich śmietnikach, odwiedzimy ich puby, pooglądamy ich kobiety w fastfoodzie: nadwagę, kształty opiętych dresów na porannej gimnastyce. „Welcome home daddy”, to chyba była pierwsza rzecz, jaka mnie zaszokowała w tym miejscu. Napis na płocie starcza mi za wszelkie martyrologie jak za wszelki sens i bezsens. Zwyczajne prześcieradło z wtartymi dziecięcymi dłońmi napisem powiewał, czekał, czasem mókł. Dobrze mieć gdzie wracać, choćby tu, tuż obok budynku poczty na złość w niedzielę zamkniętej, z ogromną skrzynią na list niewysłany do Ciebie. Oczekiwanie i nic więcej dziś, nieomal jak podczas spowiedzi, nie przychodzi mi dziś do głowy.

Nazwa stacjonujących tutaj wojsk była skrótem, który celowo nie wiązał się z jakimkolwiek krajem, choć sami żołnierze pochodzili tylko z jednego kraju. Był to zmyślny pomysł na rozmycie świadomości o tym kim, szczególnie w umysłach tych do których strzelali. Ponoć byli potrzebni. W imię bycia człowiekiem, wolności i wyższej powinności. Tu na poligonie strzelali na szczęście w powietrze rozdzierając nam niebo smugami dymu potykającego się o słońce w porze śniadania. Tam gdzie

wyjeżdżali pewnie robili to samo celując do ludzi, a może tak jak i tu, gdzieś za linię horyzontu, najeżdżając się tylko jak ara żółtobrucha w celu przepędzenia konkurentów. Jakos nas to mało interesowało. Każdy miał swoją pracę. Rozbijaliśmy w pył jedno po to żeby w tym samym miejscu postawić coś nowego. Co niektórzy wydzielali azbest, w ciągu tygodnia w komicznych strojach – czegoś na kształt jednoosobowego batyskafu, a w niedzielę, kiedy kontrole się nie zdarzały, w wielce odpornych podkoszulkach. Człowiek potrafi przetrwać wszystko, a już na pewno to czego nie widać go nie powali! Pomiedzy zabudowaniami które miały pozostać oraz sporadycznymi próbami zachowania godności ludzkiej, robieniem po sobie porządku itd., znajdowało się wiele interesujących obiektów. O niektórych wcześniej nie miałem zielonego pojęcia o innych dowiadywałem się z zupełnie nowej, nieomal międzynarodowej perspektywy. Głównie chodzi mi o szok jaki wywołał powrót jednego z pracowników naszej firmy w towarzystwie policji wojskowej skarżącej się na to, że przyłapali go na wygrzebywaniu ze śmietnika zdezelowanej kuchenki mikrofalowej. Akcja naszego współtowarzysza nie spodobała się okolicznym mieszkańcom i stąd interwencja. Dopiero później dowiedziałem się o praktykach weekendowych „naszej” partyzantki w rejonie zabudowań koszarowych, dzięki czemu w niektórych barakach znaleźć można było takie precjoza jak niedziałające radio czy, skądinąd bardzo ładną, strugaczkę do ołówków z korbką. Ostatnie urządzenie chcieliśmy nawet doprowadzić do stanu używalności ale w naszej rozbiórkowej branży nikt nie miał normalnego, okrągłego ołówka toteż działanie sprawdzaliśmy na cienkich

patykach używanych później do kłucia na odległość. Mówi się czasem, że okazja czyni złodzieja. Tu dowiedzieć się było można, że okazja może czynić nędzarza, a przynajmniej przynieść takowe wrażenie. Nasi „partyzanci” poza czasowymi wyjazdami za granicę, choć wielu uczyniło z niego styl bycia, wiedli normalne, powiedzmy cywilizowane życie. Dom, samochód, dzieci w szkole, niedziela rozpoczęta od mszy świętej. Ci sami jednak, wyrwani z miejsc ukochanych najbardziej, zamieniali niedzielę w dzień powszedni, uprzejmość w konkurencję, dobre słowo w przekleństwo. A może tacy byli naprawdę? Może dopiero tu byli sobą? Jak owi słynni snajperzy jadący „dla sportu” na parę dni w rejon wojny, a na co dzień pracujący w biurach swojej sennej ojczyzny jako kierowcy czy prawnicy? Taki nowy rodzaj gimnastyki? A może jednak szaleństwa? A może tylko coś, o czym dotąd nie było okazji pomyśleć? Sam nie wiem. Nie wiedziałem wtedy, nie wiem dziś. Jedno mnie tylko zdumiewa, jak łatwo ten stan traktowaliśmy jako normalny. Przecież nie wszyscy wyjeżdżający z naszego kraju żyli tak jak my. W każdym razie ciarki przechodzą po plecach na myśl o tym, co wyprawiali z sobą przymuszeni to takich wyjazdów przez biedę.

Serwowane w knajpach miejscowe piwo było marne, nikogo to jednak nie trapiło. To najtańsze, kupowane w dyskoncie spożywczym pewnie nie było lepsze, ale miało niższą cenę o tyle żeby nie wybrzydzać. Wracając z budowy ekspedientki co dzień miały przerażenie w oczach jak ubabrani wypadaliśmy z tyłu dostawczego samochodu wprost między regały. Może nie było to przerażenie a tylko

zdumienie tym, że mimo wyglądu i dzikiego zachowania jednak płacimy przy wyjściu? Pierwszy raz był trudny i łączył się z zażenowaniem. Po paru tygodniach konwenanse przestawały być nawet wspomnieniem i usmarowanymi rękami przerzucałem jak inni mięsem i kluchami w otwartej chłodziarce klnąc jak szewc z powodu braku pustego kartonu do którego zwykle pakowałem zakupy. Nie! Nie było tak, żeby nikt się nie mył! Po prostu od budowy do baraków było co najmniej kilka kilometrów a rejonie pracy do dyspozycji jedynie parę hydrantów.

Nikt tu nie przyjechał dla wypoczynku. Praca uciążliwa, wiele godzin gięcia karku ale nie najgorsza pensja. Przy naszych barakach często brakowało ciepłej wody. Pysznic mieścił się w starej budzie z zewnętrznym doprowadzeniem tylko zimnej wody. W budzie znajdował się nieduży, sześćdziesięciolitrowy bojler przez co jedynie kilka pierwszych osób miało ciepłą wodę. Co i tak nie było tak złe jak brak wody w ogóle. Może nie każdy wie jakie to uczucie być nagim ze spieniona głową, z niedomytym tyłkiem i bez możliwości zrobienia czegokolwiek prócz spaceru na pobliską stację benzynową po butelkę wody mineralnej? Jeśli ktoś nie wie to zapewniam, że jest to uczucie z gatunku „do dupy”. Co odważniejsi chodzili wtedy w zabudowania Portugalczyków. Mieszkali w o niebo lepszych warunkach niż my, zawsze z ciepłą bieżącą wodą i czasami zapominali zamknąć wejście. Wchodząc do ich łaźni było się jak złodziej w Fort Knox czujący się tak samo nie na miejscu jak hutnik porządkujący swoimi grubymi rękawicami relikwie Świętego Wawrzyńca. To było jak

obcowanie z sacrum, odwiecznym tabu i w strachu przed serią wyzwisk karzących wyjść na zewnątrz. O wiele mniej upokarzające było mycie się zimną wodą. Duma narodowa jednak cierpiała. Uczciwie jednak trzeba powiedzieć, że nikt nigdy nikogo z łaźni Portugalczyków nie wyrzucił. Psychoza jednak trwała. Wzajemnie wszyscyśmy siebie napuszczali na zakazy i ograniczenia, wściekłość rosła, do rewolty jednak nie doszło. Połowa pracowników nie miała nawet umowy o pracę, część nie posiadała przy sobie zdeponowanego u szefa, jakieś dwieście kilometrów stąd, własnych paszportów. To uspokajało, było lepsze niż relanium.

Brak dokumentów prowadził do przezabawnych sytuacji podczas inspekcji na budowie. Zdarzało się co parę tygodni usłyszeć hasło „- eee...kurwa!!! kontrola!!!”. Znaczyło to wyłapywanie nielegalnie zatrudnionych pracowników. Kontrolerzy nie poruszali się zbyt szybko, choć trzeba powiedzieć przybywali nie raz w dość licznym składzie, pozwalającym obstawić teren kilku budynków. Kto miał przekonanie, że z jego zatrudnieniem jest coś nie tak, uciekał na drzewo, zamelinowywał się w piwnicy, pod gruzem, w ciemnych zaułkach sprawdzanego obiektu. W większości przypadków ucieczka się udawała. Kontrole nie brały się znikąd i jak zwykle w takich przypadkach, człowiek mógł liczyć w tym zakresie na szczególnie pojętą życzliwość innych ludzi.

Głównie zajmowaliśmy się demontażem wnętrza kilkudziesięcioletnich bloków mieszkalnych. W tym samym miejscu budowany był następnie jakby klon starego budynku tylko z zastosowaniem nowoczesnej technologii. Ściany

zewnątrzne były pozostawiane. Wszystko wyglądało na zwykły remont choć w istocie budynek po naszym przejściu był jak jedna wielka wydmuszka. Kiedy tam przyjechałem głośno było o tym, jakoby za dwa miesiące naszą jednostkę odwiedzić miał prezydent Stanów Zjednoczonych wraz z sekretarzem Rady Europy czy jakiegoś innego europejskiego gremium inwestującego w schron przeciwatomowy w imię tworzenia światowego pokoju. Bardzo nas to cieszyło. Mieliśmy pracę, pieniądze, dach nad głową, uwznioślającą tęsknotę za domem uświęcaną ruską wódką i wyższy cel przyświecający nasze robocie. Czego chcieć więcej?

Mieszkający w pobliżu Portugalczycy nie specjalnie się z nami integrowali ale z pewnością doskonale nas obserwowali. Mój pierwszy z nimi kontakt był na ulicy dojazdowej do baraków. Taki jakby Sancho Pansa skrzyżowany z sierżantem Garcia, jakieś 120 kilogramów żywej wagi, twarz krągła, cały ten człowiek krągły, bujne wąsy, uśmiech, gest pozdrowienia ręką:

- Kurwamacio! – co brzmiało jak angielskie „fuckoffmucio”, jakieś „bullshitos albo chcąc to powiedzieć po niemiecku „scheissemacio”!

- Pięknas gracias! – pomyślałem. – No ładnie! Dobrze nas tu znają...

Słyszałem o eschatologicznych uniesieniach świętych uwiecznionych jak święta Teresa z Avilli przez Gian Lorenzo Berniniego w stanie – jak to określają seksuolodzy nie baczący na religię i sztuki piękne – głęboko przeżywanego orgazmu. Porównanie nie do końca słuszne, funkcja dekoracji wnętrza baraku jakby policzona na

podobny efekt. Pierwsze wrażenie porażające. Przy tej ilości efekt pobudzenia porównywalny z dietą niektórych służb mundurowych wzbogaconych o środki farmakologiczne na obniżenie potencji. Plakaty z magazynów porno na ścianach od podłogi po sufit, parę łagodniejszych ujęć rozneglizowanych panien z ubiegłorocznym kalendarzem, ginekologiczne ujęcia narządów rodnych i parę ładnych twarzy z gęstym sokiem bananowym na ustach. Do tego wystroju miałem jako gratis od firmy dwóch ogromnych facetów w charakterze współlokatorów, byłych komandosów jak się okazało, z bicepsami o przekroju mojej klatki piersiowej. Szczęśliwie moi nowi koledzy okazali się łagodniejsi niż wskazywał by na to ich prezencja. Nawet gazety na ścianach to nie był ich pomysł. Zdjąć jednak nie chcieli. Raz dlatego, że za bardzo nie było na to czasu, a dwa, gdyż ściana pod spodem wyglądała gorzej. Dwa dni później dostaliśmy jeszcze jednego współlokatora, nie byłem już najmłodszy i od tej pory zamiatałem barak tylko dwa razy w tygodniu.

Powiedzieć można tak: muzyka techno, dyfuzor dźwięku, charakterystyka kierunkowa. Można też tak:

- Eee...! Ty! Co ty tak kurwa tak łbem trzepiesz, ścisz to bo ci uchole rozpierzoli! – Franek się zaśmiał i wyłożył nogi na dolne łóżko, lewą ręką poprawiał niedopięty rozporek, a głowę wygiął w tył opierając o blachę baraku.

- Spadaj! – meloman się obruszył. – co ty pojebie wiesz o muzyce? – dodał, jak się dawało, z głębokim przekonaniem.

To czego słuchał było, mówiąc delikatnie, rytmiczne. Składało się z serii tonów powtarzanych z prędkością karabinu maszynowego, zwykle w jednej tonacji a nawet powiedziałbym w zawężeniu do jednego dźwięku, z delikatną modulacją, sam jednak nie jestem w stanie powiedzieć modulacją czego? Przez te jego słuchawki docierała do nas głównie perkusja i tylko czasem jakieś „ye ye ye” albo „aaa”, czasem „uf uf uf”, „ups ups ups”, prawie jak z reklamy United Parcel Service.

Fonoamator najpierw odwrócił się do ściany, potem odchylił ramię, przekrwionymi oczami spojrzął na nas lekko spod pachy, wreszcie usiadł, zdjął słuchawki i powiedział:

- I co?

- A co? – spytaliśmy chórem szczerząc zęby.

- Co wam się nie podoba? – pytał całkiem poważnie i to nas trochę dezorientowało. Franek nie wytrzymał:

- Ty to może nie słuchaj tego bo ogłupiejesz, już teraz jak patrzę na ciebie to wiesz, ta wysypka, błędne oczy, no...

- Spadaj ośle!

- Albo – Franek kontynuował - jedz owies, pij olej z oliwek, ale ten wiesz, co ma napisane Extra Vergine.

- Tak tak, Extra Vergine – ktoś dodał – to ponoć znaczy super dziewica, opijesz się i ci przejdzie.

Wszyscy parsknęli śmiechem. Takie to były rozmowy; naigrywanie się z siebie nawzajem, czasem podliczenie dni do wyjazdu, składka na flaszkę, codzienność. Wieczorami kto miał siły spacerował po miasteczku, przemykając pod oknami mieszkań żołnierzy. Zwykle na takie fanaberie sił starczało tylko w niedzielę. To co można było zobaczyć nie było z pewnością widokiem osławionego american dream do

jakiego przyzwyczała nas telewizja. Nie było to też skoszarowanie jakie niektórzy pamiętali z jednostek wojska na wschodzie Europy. Tu żyło się inaczej, takie państwo w państwie, własne stacje benzynowe, sklepy, kina, kluby, pole golfowe, szkoła, a nawet salon samochodowy. Miasto z pewnością wyróżniał leżący nieopodal poligon. Wszystkie drogi były wokół tak poprowadzone by nie istniało nawet domniemanie jakiegoś skrótu prowadzącego przez jego teren. Z samolotu pewnie wyglądało to jak obła zryta połącz ziemi na tle kolorowych okolicznych miejscowości. Po dwóch czy trzech tygodniach zrezygnowaliśmy z eksploracji okolicy. Było w tym coś przygnębiającego. Dzieci, kobiety, żołnierzy niewiele, jedno wielkie oczekiwanie. Sami czekaliśmy opuszczenia tej pseudo Ameryki. Co niektórzy lubili spacerować pod oknami mieszkań żołnierzy nasłuchując czegoś co wskazywałoby że życie tych ludzi jakoś znacząco się różni od ich życia w rodzinnych stronach. Pamiętam rozczarowanie takimi samymi rozmowami, drobnymi sprzeczkami, dźwiękiem telewizora wymieszanego z muzyką płynącą z dziecięcego pokoju, a nawet znaną porą obiadu i kolacji. Jedynie poruszenie wywołała niedzielna msza w stylu gospel. Tak naprawdę przeżył ją tylko jeden człowiek z naszej firmy, co nie przeszkadzało wszystkim opowiadać o tym po powrocie do kraju.

Whiskey po całym tygodniu pracy to nie jest najlepszy pomysł na jaki można wpaść ledwie trzymając się na nogach. Wierz mi! Nie wiem już co to było, ale środek nocy od tego stawał się koszmarem, ściany baraków zdawały

się zacieśniać nad każdym kto próbował tam zwymiotować, a kibel odległy o kilkanaście metrów stawał się nieosiągalnym łodem. Czy mi wstyd? No trochę. Ale dopiero dzisiaj kiedy o tym myślę. Wtedy to było nawet całkiem fajne, takie nowe doznanie.

- Pij, pij! Patrz, król Edward to pił, królowa Elżbieta. Pij, a przejdiesz jak oni do historii.

Ktoś w kącie parsknął śmiechem:

- Pij, pij. Jak będziesz pił dużo do historii też przejdiesz! Wcześniej! O wiele wcześniej niż ci się dotąd wydawało.

Wszyscy ryknęli śmiechem, młody pomamrotał jednocześnie przetykając, nikt go nie zrozumiał co tam bełkocze. Franek rozradowany efektem dowcipu o przechodzeniu do historii ciągnął dalej, ale był przy tym jak podrzędny filozof, publikujący sentencje na pseudoreligijnych kartkach pocztowych w rodzaju „kłopoty są jak powietrze dla ptaka, powietrze stawia mu opór, ale bez niego nie jest w stanie polecieć” albo takiej: „pośród ciemnej nocy nawet zgasły knot świecy jest pochodnią nadziei”. Siłą rzeczy przestało to być śmieszne, ponadto butelka zgodnie z tym jak jakaś chora tradycja nakazuje wnet opróżniła się, a w całej swej pustce stała się mało atrakcyjna i trzeba było lecieć na stację benzynową, w to miejsce które nigdy w potrzebie nie zawodzi. Można było w drodze śpiewać alleluja, kłać, szczać jak psy pod latarnią a drugiego dnia śmiać się z tego. Śmiano się ze wszystkiego, nikt za niczym nie płakał, tak jakby wszystkim odpowiadała kilkunastogodzinna dniówka, mieszczący się pod pachą majster, pieprzący pustosłowie dwadzieścia cztery godziny

na dobę, smród, bród i to, że nie my a Portugalczycy mają ciepłą wodę.

4 lipca, wiem szybko czas biegnie i nic nie piszę.

Elvis tu jednak nie mieszkał. Jednostka wielka ale nazwa okazuje się nie ta. Trochę szkoda, byłoby co opowiadać jak wrócę do domu. A tak nie dzieje się prawie nic. Praca jak to praca, trochę brudna tylko i tyle. Zajęcie od rana do nocy to i zmęczenie szybko człowieka do łóżka kładzie i nie ma czasu na nudę. Poznałem jednego barmana, fajny człowiek, co się nastuchatem od niego o wykwinnościach w lampce koniaku to moje do końca życia. Chyba pić zacznę i jakiś kredyt zaciągnę, bo o samych horrendalnie drogich napojach opowiada, bezczelnie wyobraźnię rozpala. Śmieję się, wiesz to wszystko takie dziwne. Jak zasypiam to za oknem mam wielkie pole, prycza trochę twarda, jesteśmy po czterech w jednym pokoju, da się przeżyć. Oczywiście niczego nie czytam. Ani jak, ani kiedy, ani po co, w końcu mam wakacje i w ogóle życie jest piękne. Szkoda, że tu nie napiszesz, ja nawet nie wiem czy jest tu jakiś adres, nie mówiąc o tym, że jutro albo pojutrze mogą przerzucić mnie na Frankfurt.

Rozbiórka budynków szła zwyczajnie, od góry. Nie można było po prostu zburzyć całości ale kawałek po kawałku, drewno do drewna, cegły do gruzu a azbest do azbestu. Nie wiem czy w armii działają Zieloni ale dzięki ekologii mieliśmy pracę. Tam gdzie jeździli żołnierze z tej jednostki rozbiórki załatwiało się inaczej; odrzutowiec, jakaś

super inteligentna rakietą samonaprowadzająca, wielkie bum, buldożery i oficjalnie praktycznie żadnych ofiar cywilnych. Tu pełna kultura, wycinanie cegieł skalpelem i odkładanie prętów zbrojenia w sterylne kuwety. Po prawdzie czysto to nie było, ale sortowanie wszelkiego śmiecia doprowadzało do szału. Brud i pył wchodził we wszystkie zakamarki ciała, oddychaliśmy tym ostatnim tchnieniem budynku i mieliśmy je w uszach, nosie i gdziekolwiek sobie pomyślisz. A szczególnie właśnie tam gdzie myślisz. Szczególnie demontowanie belek stropowych poddasza wzbijało tumany gryzącego kurzu. Przy okazji odrywało się skarby sprzed kilkudziesięciu lat: stare puszkę, wieszaki, gazety z lat 50-tych, miałem nawet znalezioną w ten sposób walizkę! Kiedyś na którymś poddaszu z pomiędzy belek stropowych wydobyłem naszywkę z nazwiskiem Sanchez. Żyłka, taka zielona, z wyszytymi czarną nicią literami. Nośłem ją dość długo w kieszeni wyobrażając sobie życie kogoś kto był tutaj na długo zanim ja się pojawiłem i pewnie na długo przed tym kiedy się urodziłem.

- To może jeszcze raz: jak się pan nazywa?

- Porucznik Sanchez i jeszcze raz powtarzam, nie mam upoważnienia do udzielania wywiadów.

- Wiem – reporter skinął głową – jest Pan tzw. anonimowym źródłem z kręgów armii i to wszystko.

- Wie Pan mogę mieć poważne problemy.

Reporter spojrzął na niego jakby tego nie rozumiał.

- Co Pan ma na myśli mówiąc „litość”?

- To – odparł z namysłem reporter – że kiedy przychodzi taka chwila...

Zaciśnięcie kątów oczu zdradzało politowanie, jakie odczuwał oficer wobec dziennikarza.

- To jest tak – Sanchez zimnym spojrzeniem oblał rozmówcę – może Pan napisać – „siedział obok i patrzył zimno na mnie, tak jakby chciał mnie zabić”.

Dziennikarz dopiero na ruch dłoni żołnierza w stronę kabury lekko się wzdrygnął.

- I niech – tu się zastanowił - doda Pan: „ale nie uczynił tego bardziej ze względów estetycznych niż moralnych”.

- Tak?

- Wyraziłem się jasno. – Sanchez zdecydowanie zmierzał do zmiany tematu. – To czego jeszcze chciałby się Pan dowiedzieć o naszej jednostce?

- Może... -

- Może – Sanchez wszedł mu w słowo – chciał się Pan dowiedzieć ile samochodów przewozi te piętnaście tysięcy osób co trzy miesiące w rejon Afryki?

- Afryki? – reporter nie grał zaskoczenia.

- Myślicie, że jesteśmy tu z Waszego powodu?

- A nie?

- No – Sanchez się uśmiechnął – może przy okazji.

- Zabił Pan kogoś?

- Nie, no – Sanchez był już wyraźnie rozbawiony – no nie, jeśli chcecie w tej swojej prowincjonalnej gazecie robić sensację z tego, że żołnierze strzelają do ludzi to lepiej chyba skończmy tę rozmowę.

Zobaczyłem tę scenę przy śniadaniu. Naszywka wygrzewała się w kieszeni, rozmowa wydała mi się dość zabawna i pewnie dlatego ją zapamiętałem. Monotonia pracy popycha zgłodniały mózg do tworzenia czegoś co ubarwiłoby codzienność. Prócz porannej gimnastyki żołnierzy i ubranych w białe podkoszulki pracowników cywilnych na niewiele rzeczy można było zwrócić uwagę na tyle by oderwać się od powtarzalności, banału i wszechotaczającego gruzu. Oczekiwaliśmy tylko sygnału wieczornej trąbki - co dla nas znaczyło zbliżającą się godzinę fajrantu - albo marzyliśmy o tym co będzie kiedy wrócimy do domu. Z otmętów gruzu wyrывało nas czasem przejście pod budowę jakiejś krągłej mulatki, wszyscy wylegali wtedy do okien mlaskając i gwizdząc, mając w nosie całą robotę i to jak takie zachowanie rzutuje na naszą opinię. Niektórzy jeszcze bardzo uważnie obserwowali poranne maratony, wypatrując pojawiających się tu i ówdzie falujących rytmicznie w biegu biustów, głośno komentując obserwowane zjawisko. Po za tymi chwilami żywych abstrakcji praktycznie pełen umysłowy relaks.

Leżenie na pryczy, karty, spacer, alkohol. Byli też tacy co w szczególny sposób marzyli o weekendzie. W trzecim baraku od kilku dni wrzało. Dziewiętnasto czy dwudziestoletni Marco przy piwie wygadał się kolegom z braku jakichkolwiek doświadczeń z kobietami, takich które wykraczałyby poza głupie odzywki i szarpanie dziewczyn za włosy jeszcze w czasach podstawówki. Teoretyczne podstawy miał niezłe; cykl zajęć z przygotowania do życia w rodzinie i niezliczoną ilość naukowo zgłębionych

pornomagazynów. Zazwyczaj w takich przypadkach środowisko jest bezlitosne, Marko jednak miał swego rodzaju szczęście zwierzyć się kolegom, którzy w praktyce mogli być jego ojcami, a nawet w jednym przypadku dziadkiem. Tak więc zamiast odzywek na temat prawiczka, męskiej dziewicy, onanisty, czy pedała – na zasadzie, że jak z kobietą nie to na pewno z innym facetem – Marko został poinstruowany co i jak ma robić i że robi to w weekend 15 kilometrów za miastem u pani Marii która jest na swój sposób piękna i ma tę niezaprzeczną zaletę że tania. Młody nawet się nie wzbraniał, z wypiekami na policzkach codziennie zagadywał kogo popadło jak to jest i że w weekend to robi. Nie przeszkadzała mu wizja niewiadomo jak wyglądającej Marii, tego, że mieszka w ukrytej za żywoplotem przyczepie kempingowej przy drodze 22 i to że jest w wieku jego matki. Miała swoje zalety i miał ich niedługo doświadczyć. Jego starsi koledzy wiedzieli co polecają. Dość regularnie odbywali wycieczki krajoznawcze wzdłuż drogi krajowej 22. Było to na swój sposób zadziwiające. Po przygodach ze śmietnikami nie aż tak bardzo, niemniej żony i dzieci jakieś tysiąc kilometrów stąd nie przeszkadzały niektórym na pielęgnowanie mitu wolności życia kawalerskiego. Wizyty u pani Marii nie przeszkadzały też po powrocie do domów stawać się na powrót wzorowymi obywatelami, parafianami, mężami etc. Ktoś mógłby powiedzieć upadek wartości, chamstwo, zezwierżenie, prymityw do kwadratu i nieposzanowanie zasad higieny – niestety. Nic jednak z tych rzeczy. No może za wyjątkiem higieny. Kluczem była tu ekonomia i to też jak

cały, mówiąc górnolotnie, porządek aksjologiczny, rozumiana bardzo specyficznie.

Któregoś dnia podczas przerwy śniadaniowej dwóch z baraku Marka siedząc okrakiem na pustakach wymieniało się uwagami na temat jakiegoś ich dawnego znajomego. Nie mieli o nim zbyt dobrego zdania. Wpierw wydawało mi się, że chodzi im o to jaka z niego świnia, że zarówno tu jak i w swoim rodzinnym miasteczku ma po jednej rodzinie; w sumie zatem dwie żony oraz kilkoro, sami nie wiedzieli ile w istocie, dzieci. Znajomy ich pracował czasem miesiąc, czasem dwa, wracał do kraju, był tam kilka tygodni a następnie z listą planowanych przez jego „krajową” żonę wydatków znów był tutaj. Dom, samochód, meble, wykształcenie dzieci, wszystko w imię życia na przyzwoitym poziomie. Trwało to już dobrych parę lat. Najbardziej żałosne w oczach jego byłych kolegów było to „- jaki z niego dupek” oraz to, że „- ten głupek nie potrafi liczyć”. Chodziło o to, że utrzymywanie dwóch rodzin jest dość kosztowne i że jak „- chce se popieprzyć to mało tu takich? Idzie, zapłaci, zero stresu i zawracania głowy, a tak ma dureń dwie baby na głowie i zero kasy”. To im się w głowie nie mieściło. Nawet mu trochę współczuli, ale jak zaznaczali „- sam sobie pierdoła jest winien”.

Niedziela to był dzień Marka. Marko pojechał wyładowanym narzędziami mikrobusem drogą 22. Koledzy podprowadzili go pod same drzwi przyczepy. Wewnątrz była miła czterdziestokilkuletnia kobieta w powłóczyściej halce z bielizną, która w niczym Markowi nie przypominała jego „literackich” doświadczeń z magazynu *Kociaki*. Poczuł

coś w rodzaju zażenowania, drzwi same zamknęły się za jego plecami a dłonie pani Marii nadspodziewanie szybko znalazły się w okolicach jego krocza. Wszystko trwało pięć, może siedem minut. Marko wyszedł z rozszerzonymi źrenicami i różem na twarzy tak wyrazistym, że oczekujący kumple wzięli to za żart pani Marii. To, co jednak nie było pudrem na twarzy, okazało się śladem „bycia w niebie” jak to określił Marko i dopiero w godzinę później, prawie mimowolnie a trochę dla zgrywy poruszając biodrami, opowiadał jak to nie wytrzymał dłuższej nawet chwili wewnątrz, o tym jak tylko wszedł a już było po wszystkim i jak to nie może przestać myśleć „chcę znowu”. Być może Maria zbyt profesjonalnie go pieściła, a może zwyczajnie tak bardzo Marko doznaniem został ogłuszony. Nieważne. Ta część edukacji została dokonana i Marko od tego dnia klnąc robił to jakby bardziej męskim głosem.

Praca przywiewała tu bardzo różnych ludzi, takich którzy w życiu nie kiwnęli nawet palcem, takich co przyjechali na pożyczonych dokumentach, ludzi z wykształceniem i bez jakiegokolwiek edukacji. Cała hierarchia społeczna tworzona była tak jakby inne życie nie istniało – tylko tu i teraz. Miejsce nikomu nie przeszkadzało, sama praca i owszem. Mało kto myślał o zmianie. Sporadycznie ktoś chciał kogoś zabić za kapowanie u szefa zbyt częstych przerw na papierosa, poza tym sielanka. Sakramentalne „byle tylko wypłacili”. Przeliczenie kasy uśmierzało wszelki ból. W nocy potrafił obudzić przenikliwy skurcz wykręcanych ramion. Całe dnie

tłuczenia młotami pneumatycznymi po betonie powodowały w pierwszych tygodniach ogólne przeforsowanie organizmu, człowiek miotał się nocą po łóżku gniesiony niewidzialnymi dłońmi jakiegoś giganta, z poczuciem odchodzenia mięśni od kości i z potem na całym ciele jak przy czterdziestostopniowej gorączce. Robota nie była najgorsza. Pomimo zmęczenia i tak każdy był zadowolony, że nie został przerzucony do konserwowania jakiś kanałów o wysokości siedemdziesięciu centymetrów. Nasza firma brała same ciekawe prace do wykonania, a to co my robiliśmy było przy wielu innych możliwościach jak wakacje na wyspach Bahama.

Przynajmniej raz w tygodniu pomiędzy szóstą a siódmą rano, kiedy wjeżdżaliśmy na teren jednostki z naprzeciwka mijały nas ogromne czarne ciężarówki z małymi okienkami zza których ledwie można było kogokolwiek dojrzeć. Nasz samochód dostawczy, wypchany co do skrawka części załadunkowej ludźmi, był wobec tych potężnych maszyn jak łupinka na wzburzonym oceanie. Droga drżała, pomruk obleczonej w stal i brezent kolumny po paru chwilach ginął za zakrętem. Niewiele nas to interesowało. Trwała co prawda wojna, ale nie tutaj i nie nasza. Byliśmy tu tylko dla pieniędzy. Gdzie jechali i co robili było dla nas zupełnie obojętne, tak samo jak stawka godzinowa czternastoletniej szwaczki, wykonujące na dalekim wschodzie nasze ochronne rękawice. Rzeczywistość była tutaj, a reszta to był taki telewizyjny reportaż, którego i tak nikt nie obejrzy po powrocie do domu. Bo i po co? Ciągle pamiętam piorunujące wrażenie napisu, wiesz...

tego: „Welcome home daddy”. W końcu to koszary a tu taki tekst. Bardziej jednak mnie zdumiał pewien człowiek w cywilu, wieczorem, bez jakiegokolwiek asysty ściągający sztandar. Zanim sięgną po linę i zapięcie uklęknał. Miasto zasypiało a ja poczułem, że się w końcu tutaj czegoś nauczyłem.

*Chyba dość już tego listu. Pozdrawiam i do zobaczenia.
Poniżej ten tekst o który prosiłaś.*

De profundis clamavi ad te, Domine:

Domine, exaudi vocem meam.

Fiant aures tuae intendentes:

in vocem deprecationis meae.

Si iniquitates observaveris, Domine: qui sustinebit?

Quia apud te propitiatio est:

et propter legem tuam sustinuit, Domine.

Sustinuit anima mea in verbo ejus,

speravit anima mea in Domino,

boguslaw.dziadzia@us.edu.pl